



374577

RARA

176

Dig. 0456.  
Mf. 11812

# ALBUM ARTYSTYCZNE



1903.





374577

RARA III









# ALBUM ARTYSTYCZNE

WYDANE STARANIEM TOWARZYSTWA BRATNIEJ POMOCY  
UCZNIÓW KRAKOWSKIEJ AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH W 25<sup>TA</sup>  
ROZCHNICĘ ISTNIENIA TOWARZYSTWA, NA DOCHÓD SPRO-  
WADZENIA NA WAWEL ZWŁOK JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

ODBITO W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZĄDEM J. FILIPOWSKIEGO.

374577

III Rara



JBC

Dis 0456.

Biblioteka Jagiellońska



1001240807



# 1877—1903



ajdawniejszy i zarazem pierwszy dokument, jaki posiada Towarzystwo Bratniej Pomocy Uczniów Akademii Sztuk Pięknych, to podpis Mistrza Jana. — „Jan Matejko“ — dziwna relikwia dla młodych artystów, zawsze święta i wielka. Relikwia ta, oznaczona datą 14 grudnia 1877 roku, jest pierwszym zarazem dokumentem i śladem związku małego, a tak potrzebnego Towarzystwa. Główną zasługę nad zorganizowaniem jego położył prof. Władysław Łuszczkiewicz i pierwszy prezes Towarzystwa Ludomir Szpadkowski. Patriarchalizm, jaki panował za czasów Matejki w naszej Alma Mater, odzwierciadla się i w nowo założonem Towarzystwie.

„Zaprasza się Kolegów na opłatek o 11-ej w sali wykładowej“ — to drugi dokument, a pierwsza czynność Towarzystwa. W tem jednym ogłoszeniu maluje się cały charakter ówczesny Szkoły, Towarzystwa i uczniów żyjących tradycją minionych lat i zwyczajów.

Te same cechy miał Jan Matejko. Płynęły więc one z góry, z pracowni tajemniczego, wielkiego Mistrza. Młodzież zapałzona w niego, rozmiłowana w nim, w jego wielkości, na każdym kroku szczyli się swym dyrektorem i pragnie to całemu społeczeństwu zmanifestować wspaniałym pochodem na cześć jego. Przyłącza się do młodzieży Szkoły Sztuk Pięknych młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego i wielki korowód 300 pochodni przy tysięcznych tłumach kroczy po rynku i ulicach Krakowa. Społeczeństwo za pośrednictwem manifestacyi dowiedziało się o egzystencyi tak sympatycznego a młodego Towarzystwa. Posypały się dary.

Młode to Towarzystwo niezwykłą pozatem przedstawia żywotność. Urządza szereg odczytów publicznych, przedstawienie w teatrze, ogłasza konkurs na kompozycje i pierwszym laureatem Towarzystwa wychodzi Piotr Stachiewicz.

Na miejscu zdaje się będzie wymienić skład zarządu w pierwszym, pamiętnym dla Towarzystwa roku założenia: prezes Szpadkowski Ludomir, wice-prezes Edward Lepszy, sekretarz N. Trepka; wydziałowi: Rauchinger, Stachiewicz, Czarnecki, Niesiołowski, Herncisz; komisya kontrolująca: W. Rossowski, Fr. Machniewicz, Harasimowicz.

Ludzie energiczni powoli ustępują — Towarzystwo martwieje, upadając finansowo i moralnie. Okres tego upadku trwa lat parę, aż w końcu roku 1894 rządy Towarzystwa przechodzą znowu w ręce energicznego człowieka kol. Jarockiego, powołującego Towarzystwo Bratniej Pomocy do silniejszego życia. Towarzystwo przechodzi cały szereg zmian w swej organizacyi. Rozwija się. Lata 1899, 1900, 1903 wpływają znacznie na polepszenie finansowe i Towarzystwo coraz bardziej rozszerza zakres swego działania.

W końcu zmiany nowe, zmiany z gruntu przeprowadzone przez kol. M. Zaruskiego, stawiają Towarzystwo na obecnym poziomie rozwoju, który pozwala w dość znacznym stopniu nieść Kolegom pomoc materyalną i moralną. Oddzielny lokal Towarzystwa i czytelnia są ogniwami życia koleżeńsko-towarzyskiego młodzieży zebranej ze wszystkich prowincyj Polski.

Ćwierć wieku nieść pomoc nieustanną — zasługa nie lada, zasługa godna uznania! Słusznie więc grono uczniów Akademii Sztuk Pięknych powzięło zamiar uczcić Towarzystwo Bratniej Pomocy tem wydawnictwem.

Kraków, w Maju 1903 r.

*Jan Skotnicki.*

Jako Opiekun autornij w D. 140 Gubernii 1877 roku  
Przyklni mtoż.icy Słoboty Słobodki przybył w Krakowie  
podpisanyj się:

Jan Łatkiński

Jako Kurator Przyklni Słoboty Słobodki przybył autornij w Krakowie  
D. 140 Gubernii 1877o podpisanyj się: *Maryjan Gorkhoff*

Zaswylac ale mnie powstani na Ciotkach honorowego cyrkla: przyimaje  
o tem ferwa i fakcie, mi af'asowane i' wysz' wzajemnie tego skwaszynami  
mtożyl ludzi: dżyżyl do i' teator - w ty' p'owiesionij 'idwizyfy' spocze.

Krakow 15 Gubernii 1877

*W. Lubowicki*

*W. Lubowicki*

*Feryan Cybil*

*Leopoldi Löffler*

*Leopoldi Bocu / mójstyni bramin w Słobce*

*Pyjpa Jaktorow*

*Feliks Lypnacki*

*Krzysztof Jan Siemieniński*



## SKŁAD TOWARZYSTWA W ROKU JUBILEUSZOWYM:

CZŁONKOWIE HONOROWI: DYR. JULIAN FAŁAT, PROF. KONSTANTY GÓRSKI, WŁADYSŁAW JAROCKI, PROF. KAZIMIERZ KOSTANECKI, PROF. JACEK MALCZEWSKI, WŁODZIMIERZ TETMAJER, STANISŁAW WITKIEWICZ, PROF. STANISŁAW WYSPIAŃSKI, MARYUSZ ZARUSKI.

KURATOR: PROF. JAN STANISŁAWSKI.

WYDZIAŁ: MANN ALEKSANDER. SKOTNICKI JAN. PORANKIEWICZ WŁADYSŁAW. GARDECKI JÓZEF. WOJTASIEWICZ TADEUSZ.  
PREZES. WICE-PREZES. SEKRETARZ. SKARBNIK. GOSPODARZ.

WYDZIAŁOWI: WOJTASIEWICZ TADEUSZ. PIOTROWSKI JÓZEF. FILIPKIEWICZ STEFAN. BESTECKI DYONIZY. WRZESIŃSKI JÓZEF. GETHER STANISŁAW.

KOMISYA KONTROLUJĄCA: ZARUSKI MARYUSZ. WITKOWSKI ROMUALD. LEWICKI JÓZEF. RUDLICKI WŁADYSŁAW.  
PRZEWODNICZĄCY. CZŁONKOWIE. CZŁONKOWIE.

### CZŁONKOWIE ZWYCZAJNI:

ARCZYŃSKI ALEKSANDER.  
BIAŁOBŁOCKI ROMAN.  
BISIER STEFAN.  
BUSZEK ANTONI.  
BRYK FELIKS.  
BESTECKI DYONIZY.  
BULAS JAN.  
CHWASTOWSKI JAN.  
CZERNIEWSKI LUDOMIŁ.  
CHWISTEK LEON.  
DOBRODZICKI ADAM.  
DEMCZUK FILIP.  
DRZEWIECKI JAN.  
EICHLER STANISŁAW.  
FLEISCHMAN STANISŁAW.  
FLORKIEWICZ WITOLD.  
FROMMER SZYMON.  
FILIPKIEWICZ STEFAN.  
GARDECKI JÓZEF.  
GETHER STANISŁAW.

GOLIŃSKI JAN.  
GAJDA STANISŁAW.  
GUMOWSKI JAN.  
HAUSMANN SZYMON.  
HOCHMANN HENRYK.  
IDZIKOWSKI RUDOLF.  
JAKIMOWICZ MIECZYŚLAW.  
JANCZYK FRANCISZEK.  
JAROCKI WŁADYSŁAW.  
JAGIELSKI JAN.  
KUNA HENRYK.  
KOŚCIANOWSKI WACŁAW.  
KRYK LUDOMIR.  
KUCZBORSKI STANISŁAW.  
KOPCIŃSKI EDWARD.  
KUŹMIŃSKI APOLINARY.  
KOSZAREK TEOFIL.  
KOPCZYŃSKI BRONISŁAW.  
KACZMARSKI KAROL.  
KOSTYNOWICZ KAZIMIERZ.

LASKOWSKI ROMAN.  
ŁOBOS IGNACY.  
ŁAZOWSKI ANTONI.  
MINKOWSKI MAURycy.  
MUCHARSKI GUSTAW.  
MALACH JÓZEF.  
MANN ALEKSANDER.  
MISKY LUDWIK.  
MAKOWCZYŃSKI JAN.  
MATEJF JAN.  
NIESIOŁOWSKI TYMON.  
NOWAKOWSKI ALEKSY.  
NOWICKI JÓZEF.  
OLSZENKA STANISŁAW.  
OSTRÓŻKA JERZY.  
PIOTROWSKI JÓZEF.  
PORANKIEWICZ WŁADYSŁAW.  
PODGÓRSKI JAN STANISŁAW.  
PIÓRCZYŃSKI WACŁAW.  
RUDLICKI WŁADYSŁAW.

REMBOWSKI JAN.  
ROGALSKI KAROL.  
ROZENBLUM LEON.  
SZLIFIERZ MIKOŁAJ.  
SZYGELL STANISŁAW.  
SOBCZAK STANISŁAW.  
SIELLICKI STANISŁAW.  
STASZEWSKI KAZIMIERZ.  
SOSENKO JAN.  
SKOTNICKI JAN.  
SONEWENDT STEFAN.  
SZKUDELSKI STANISŁAW.  
WRZESIŃSKI JÓZEF.  
WASYLISZYN MICHAŁ.  
WITKOWSKI ROMUALD.  
WOJTASIEWICZ TADEUSZ.  
WEBER KAZIMIERZ.  
ZARUSKI MARYUSZ.  
ZAWADZIŃSKI CZESŁAW.  
ZMIGRODZKI KONSTANTY.



ADAM BEŁCIKOWSKI.

## KRÓLEWNA SZKLANEJ GÓRY.

POCZĄTEK AKTU II.

LIBRETTO DO CZARODZIEJSKIEJ OPERY.

(Wyspa Hesperya wskutek zaczarowania stała się bezludną. Jedynymi jej mieszkańcami są obecnie: Królowna Stella, córka ostatniego króla, dwie jej panny z fraucymeru i stary Burgrabia)

*Dekoracya wyobraża salę na zamku Szklanej Góry, dokąd królowna z woli Wielkiego Ducha została wraz ze swym małym dworem przeniesioną.*

### SCENA I.

BURGRABIA (*wchodzi z pękiem kluczy*). Cicho i pusto!... a to już tak rok szósty! Niema komu otwierać, witać, żegnać, anonsować, meldować, komu się kłaniać, dla kogo uroczyście się ubierać w kapelusz z piórami i wielką szarfę przez piersi! Człowiek wyjdzie zupełnie z rutyny i zapomni obowiązków swego powołania! Nie znajduję dosyć przekleństw na to przeklęte zaczarowanie i zaczarowane zaklęcie. Ach, jak to dawniej bywało, jak to bywało!

Ktoś trąbi w róg na moście —  
Co tam nowego? To goście, to goście!  
To jakiś oświecony pan!  
W dziedzińcu kotły: ratuplan! ratuplan!  
Biegnę, zazieram,  
Bramy otwieram,  
Jedną po drugiej: trzask! trzask! trzask!  
Jakież ten pan jest pełen łask,  
Jakież w uśmiechu dla mnie wdzięk!  
A ja kluczami: brzęk! brzęk! brzęk!  
Wszczyna się pochód tryumfalny  
Do sali audyencyonalnej;

Król jegomość rozpiera się na tronie,  
Ja doń w uniżonym poklonie  
Pod kątem prostym schylony,  
I znów się kłaniam na trzy strony  
I mówię: oto oświecony  
Ten książę, lub wielmożny jaśnie,  
Albo też jaki prałat właśnie,  
Lub baron, rycerz znamienity  
Z taką godnością i zaszczyty,  
Z arki Noego wywodzący  
Swoj ród i klejnot prawowity,  
W takim a w takim interesie  
Pokorne swoje prośby niesie.  
Król brodą kiwa; przez moje wpływy  
Suplikant mówi z królem szczęśliwy,  
A ja się cofam, jak prawa każą,  
Nie tyłem tak, ale tak twarzą,  
I u królewskich podwoi  
Powaga moja stoi,  
Aż znowu rogu dźwięk  
Zbudzi mych kluczów brzęk,  
Ach, słodki brzęk,  
Słodszy niż złota dźwięk,  
Gdy kluczów zabrzmiał pęk:  
Brzęk, brzęk, brzęk, brzęk!

### SCENA II.

*Burgrabia. Wchodzą: Królowna Stella i jej Panny służebne: Bianka i Floryda.*

STELLA. Patrzącie, jak nasz burgrabia powtarza znowu swą codzienną zabawę.

BIANKA. Ucieszny starowina, cały w ukłonach i podrygach.



BURGRABIA. Mój najjaśniejszy królu panie,  
Przylatuję na wezwanie.... (*Stella, Floryda i Bianka  
zbliżają się*) Otóż masz, znowu mnie złapały!

BIANKA. No dalej, mości Pamfilu, dalej!

BURGRABIA. To nie... to tylko tak... z nałogu... z nudów...

STELLA. Cieszę się, iż mogę ci zrobić nadzieję, że twa bezczynność  
skończy się niedługo.

BURGRABIA. Jakto, najjaśniejsza królowno?

STELLA. Tak, mości burgrabio. Właśnie uwiadomił mię Wielki Duch  
przez swego pierwszego kurjera, Elfa: Ciesz się, królowno, dziś  
przybędzie do Szklanej Góry dwóch młodzieńców z zamorskich  
krajów, których burza na tę wyspę wyrzuciła, każdy z chęcią wyba-  
wienia cię z potęgi czarów i otrzymania twej ręki.

BURGRABIA. Co, jakto?... miałyby to być prawda?... może to żart  
ze mnie?

STELLA. Tak Wielki Duch powiedział.

BURGRABIA. Powiedział, powiedział... i dwóch, dwóch?... ej, może  
dosyć jednego, byle nie zawiódł.

FLORYDA. Od przybytku głowa nie boli, mości Pamfilu.

BURGRABIA. To prawda, to prawda! No, proszę... dzisiaj... dwóch...  
dwóch... odczarują nas przecie i całą wyspę. Jaki to tłum będzie  
czekał z gratulacjami przed bramą!... będę się kłaniał, anonsował,  
etc. etc. Potem huczne wesele...

STELLA. Hola, hola! nie tak prędko! Wiesz, że gdy warunkowi  
zadość się nie stanie, z wesela nic nie będzie. Na teraz obowiązuję  
cię jedynie, abyś przyjął młodzieńców i obznajmił ich z istniejącymi  
prawami.

BURGRABIA (*wskazując*). Dam im przeczytać tę tablicę.

STELLA. Zresztą masz zupełnie milczeć, choćby ci się co najbardziej nie  
podało. Tak chce Wielki Duch, bo najprzód musi być próba miłości.

BURGRABIA. To już źle — zwykle próby miłości robią fiasco. Lecz  
jakaż to próba?

STELLA. W ostatniej dopiero chwili wyjawi ją Wielki Duch.

BIANKA. Uważaj przeto na siebie, panie burgrabio. Gdybyś językiem,  
okiem lub migiem zdradził tajemnicę, interwencja Wielkiego Ducha  
przerwie sprawę, choćby już blizka była końca.

BURGRABIA. O, będę uważał na siebie, będę się gryzł w język, dusił,  
pocił, lecz się nie wyrwę z niczem...

STELLA. Słyszysz, ktoś trąbi w róg na moście...

BURGRABIA. Biegnę piorunem... Goście, goście! (*Wybiega*).

### SCENA III.

*Stella, Floryda, Bianka.*

STELLA. Jak mi mocno serce drży,  
Oko pełne trwożnych łez,  
Jakim jesteś, ktoś jest ty,  
Co miłości mojej chcesz?  
Czyli będziesz kochać mnie  
Tak, jak pragnie dusza ma,  
Czyli ja pokocham cię  
Ogniem tym, co wiecznie trwa?

TRIO. Ach, uroczysta godzina,  
Gdzie ma zginąć nieszczęść czar,  
A czar miłości się poczyną,  
Ach, uroczysta godzina,  
Pełna nadziei, rozkoszy i lęku:  
Mieć naraz w obojem rękę  
Najsroższą karę i najdroższy dar?

STELLA. Idźmy teraz do siebie, gdzie nam Wielki Duch swą dalszą  
wolę i rodzaj próby objawi (*Wychodzą*).

### SCENA IV.

*Burgrabia i Formozyn, młodzieniec pełen nadziei, wchodzi drzwiami  
w głąbi.*





BURGRABIA. Witam w tych progach zacnego pana. Jakaż godność, jeśli śmiem spytać?

FORMOZYN. Formozyn Gładysz, do usług.

BURGRABIA. Formozyn *de* Gładysz?

FORMOZYN. Nie Degładysz, Gładysz, mości panie!

BURGRABIA. Ależ *de* Gładysz!... W nasze progi nikt jeszcze bez tego *de* nie wstąpił.

FORMOZYN. Niech więc będzie Degładysz. A waćpań burgrabia Szklanej Góry?

BURGRABIA. Obecnie, były zaś burgrabia jego królewskiej mości króla hesperyjskiego. Zostałem zdegradowany nie przez własną winę, ale...

FORMOZYN. Znam tę historią od A do Z. Nie traćmy więc na ten czas i chciej mnie waćpan zaprowadzić przed królowną.

BURGRABIA. Obowiązek, wypływający z mego urzędu, jest całkiem temu przeciwny. Za jej próg dziewiczy wolno tylko duchom wstępować i mnie, gdy idę po służbie. Ona tu sama do nas przybędzie, to jest właśnie sala recepcyjna.

FORMOZYN. Etykieta u was na wysoką skalę rozwinięta...

BURGRABIA. Tak, panie dobrodzieju; każdy dwór stoi na etykietach. Tymczasem pozwól pan, że go czem innym zabawię. Widzisz pan tę tablicę?

FORMOZYN. Aha, cóż to znowu?

BURGRABIA. Na niej są, za wołą Wielkiego Ducha spisane prawa miłości, którym zadosyć uczynić musi ten, kto chce pozyskać rękę królowny i z nią królestwo. A o ile wiadomość moja sięga, pan dobrodziej właśnie do obojga aspiruje.

FORMOZYN (*stojąc przed tablicą*). Te prawa, by pokochać królowną szczerze, mocno i statecznie, były mi już wiadome z ust pustelnika, lecz, panie burgrabio, o ostatnim paragrafie nic nie wiedziałem.

(*Czyta*). „A kto by przyszedł tu zwabiony  
Nadzieją bogactw i korony,

Prawej nie czując miłości,

Ten za karę swej chciwości

Do ciemnego będzie wrzucon lochu,

I przez rok i niedziel sześć

Nie będzie nic ni pić ni jeść

Jak wodę i chleb, a spać na wiązce grochu“.

Lecz nie obawiam się tej kary. Kocham waszą królowną taką miłością, o jakiej dopiero będziecie mieć pojęcie, gdy ją w modę wprowadzę po odczarowaniu wyspy.

BURGRABIA. Niech cię uściskam!... To mi walny chłopak!... Ach, daruj, najjaśniejszy panie, tę konfidencją!

FORMOZYN. Nie gniewam się, lubię być popularny.

BURGRABIA. Otóż najjaśniejsza królowna ze swym dworem.

#### SCENA V.

*Burgrabia, Formozyn. Wchodzą: Floryda, udająca dla wypróbowania Formozyna królowną i przybrana po królewsku; za nią Stella i Bianka. Marsz.*

BURGRABIA. Co to za skandal!... Florydo!...

FLORYDA. Milcz! STELLA. Cicho! BIANKA. Sza!

BURGRABIA. (*zatyka sobie usta*). Cicho, cicho, cicho, sza!

FORMOZYN (*d. s.*). Z jakąż gracyą one idą,  
Ileż wdzięków każda ma!

FLORYDA (*usiadłszy na tronie, uroczyście*).

Nasz burgrabio, kanclerzu, ministrze,

Kto jest dorodny młodzian ten?

BURGRABIA. To, najjaśniejsza królowno,

Hrabia Formozyn *de* Gładysz.

FLORYDA. STELLA. BIANKA. Witajże!

FORMOZYN. Ach, królowno!

FLORYDA. Czegóż żąda on?

BURGRABIA. Twą rękę posiąść chce

I twój, królowno, tron.

FLORYDA. A czy go doszedł słuch,  
jaki warunek na to kładzie Wielki Duch?

FORMOZYN. Znam warunki doskonale.

FLORYDA. A czy umiesz kochać stale?

FORMOZYN. No, królowno, patrz: jam w szale!...

FLORYDA. Kochaj zimno, byle stale.

Mów, czyli mnie kochasz szczerze?

FORMOZYN. Żądaj życia!...

FLORYDA. Dość, już wierzę.

BURGRABIA (*n. s.*). Niech go jasny piorun trzaśnie,  
Otóż dobrze wybrał właśnie!

FLORYDA. Lecz nam powiedz, o miłości  
Jakie masz wyobrażenie,  
Co jest miłość?

FORMOZYN. O, natchnienie  
Płynie na mnie z twej piękności! —  
Ach, miłość, me piękne panie,  
To brzask jutrzeńki w zaranie;  
To śpiew aniołów, co płynie  
Po naszym ziemskim padole,  
Jak płynie źródło przez pustynię;  
To róża, która nie kole;  
To tęczy łuk jest na niebie,  
Co z niebem ziemski świat brata;  
Harmonia, która do siebie  
Dusze pociąga i splata!

FLORYDA. Bravo, bravo, mój panie! Cieszymy się, moje towarzyski,  
z takiego brylantu młodzieży.

BIANKA. Widać, że nie próżnował na świecie i doszedł do znajomości  
przedmiotu.

STELLA. Przedewszystkiem tobie, najjaśniejsza królowno, winniśmy  
powinszować takiego wybawcy.

BIANKA. Ależ dajmy pokój pochwałom. Biedny pan Formozyn spali  
się ze wstydu.

FORMOZYN. Nie jestem paratianinem, nie nowina to dla mnie. I na  
stałym lądzie doznawałem od dam wiele względów.

FLORYDA. Trzeba jeszcze dopełnić formalności. Nasz burgrabio, podaj  
temu panu rotę przysięgi.

FORMOZYN. Ach, pocóż zimne słowa, kiedy serce moje tak gore,  
kiedy w oczach twych me oczy!...

FLORYDA. Wszystko to bardzo piękne, lecz formalność przede-  
wszystkiem.

BURGRABIA (*n. s.*). Przeklęty bałwan! (*Głośno, podając mu rotę*)  
Panie Formozynie de Gładysz, klękaj!

FORMOZYN       Ja, Formozyn Degładysz  
(*ukląkwszy*).     Przysięgam,  
                    Że tylko ciebie,  
                    Hesperyjską królownę,  
                    Kocham i kochać będę wiecznie,  
                    Szczerze, mocno i statecznie.

BURGRABIA.     Otóż, co się nazywa  
                    Ciemięga!  
                    Czart niech go bierze,  
                    Zostać sobie mógł w domu,  
                    A nie marudzić tutaj komu!  
                    Lecz odsiedzi za to więź!

TRIO KOBIECE. Otóż, miłość fałszywa —  
Przysięga  
I nieba wzywa;  
Kary za to nie minie  
Biedny szaleniec, zaślepiony  
Blaskiem berła i korony.

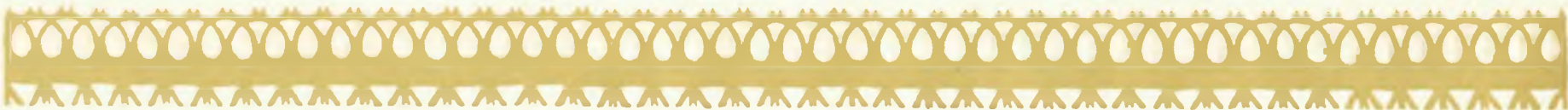
R a z e m.



PORTRET.

JAN REMBOWSKI.





FLORYDA. Teraz udasz się, panie Formozynie, do przeznaczonych ci apartamentów; później zawołamy cię tutaj, aby ci oznajmić, jak przez nas i Wielkiego Ducha zostałeś przyjęty.

FORMOZYN. Z żalem w sercu opuszczam cię, piękna królewno — (*n. s.*) wszystko idzie etykietalnie i zimno — może jej subretki nie takie formalistki. (*Wychodzi za Burgrabią*).

EDMUND BIEDER.

VIR TRIUMPHANS.

I.

Żem przeszedł wszystkie męczarnie Prokrusta,  
Żem z życia czary spijał jeno jady  
I żem w truciźnie jeno maczał usta  
I rubinową krwią karmiłem gady,

Dziś dumny wstaję z gruzów trzęsawiska  
I moc olbrzymia piersi mi rozsadza  
I ogień pali, a w oczach mi błyska  
Duma!... co z czołem podniesionem chadza!

Wyolbrzymiały w słonecznej pozłocie  
Z toporem w dłoni w bór idę dziewiczy  
I już się Rozpacz mej duszy nie ima...

Ostatnie „vare!“ wyrzekłem Tęsknocie!...  
I Życie, Życie wre we mnie i krzyczy!  
A z duszy kuję Tytana — olbrzymia...

II.

Szumią mi dęby tej dziewiczej puszczy,  
Co leży cicha, olbrzymia przedemną,  
Nietknięta stopą świętokradczej tłuszczu,  
Która nie śmiała w jej głąb wtargnąć ciemną.

Niech szumią dęby!... Oto dzień wszedł jasny!  
Otom wykrzesał w piersiach serce harde  
I silną pięścią zdławiłem ból własny,  
A mej słabości, jak psu, rzucam wzgardę!





Oto mi Życie gra słońcem i tęczą!...  
Oto drży ziemia, kędy stopą stanę!...  
I silny jestem — i nie znam, co opór!...

Oto ująłem w dłoń krzepką mój topór  
I idę w puszcę z mą butą młodzieńczą  
Rąbać świetlistą Miłości polanę!...

III.

Moc wstała we mnie i żar w oczach tli mi  
I otoczyła mię słońce zawierucha...  
Z piersi mi iskier słup tryska olbrzymi  
I gejzyr wrzący strumieniem z niej bucha.

Co jest przedemną — miażdżę i druzgocę!...  
Moc wstała we mnie groźna i szaleje;  
Padają dęby puszczy, bledną noce  
I otwierają się w słońce wierzeje...

O święć się, mocy młodzieńcza, coś wstała,  
Za święte ognie w mej duszy tlejące,  
I za potężne do topora pięściel!

Oto przedemną słoneczna tarcz biała,  
A jeśli szczęściem nazywa się słońce,  
Przemocą wydrę niebu owo szczęście!...

IV.

O zstąp, Miłości, jasna w moje sady!  
Oto Cię gaje czekają pachnące,  
Otom Ci cudne zgotował biesiady,  
Otom Ci złote z nieba zerwał słońce!...

O zstąp Miłości w moje sady kwietne!...  
Już się biesiadne w kruzach złocą miody,  
Na wieniec kwiat Ci najwonnejszy zetnę  
I do stóp rzucę róż pełne ogrody...

O zstąp, Miłości, w kwietne sady moje  
I wnieś w mój ogród nieśmiertelne Piękno  
I chryzmat daj mi bujnego żywota!

Zdobyłem Ciebie przez trud, bój i znoje;  
Wstąp!... Niech me myśli u stóp Twych uklęką!...  
Oto otwarte ogrodów mych wrota!...

V.

Daj mi Miłości lot tęgi i górny,  
Iżbym nie upadł w pół drogi żywota  
W małość i w nędzę, w wir ziemskiego błota  
Składając kości przedwcześnie do urny!...

O daj mi siłę — ażeby przedwcześnie  
Z strzaskanem skrzydłem nie poszedł do trumny,  
Lecz młode, górne życie prześnił we śnie  
Upity słońcem... zwycięstwami dumny!...

Miłości moja!... Oto Tobie niosę  
Skrzydlatą duszę płonąca w pożarach,  
I laur zdobyty rzucam Ci pod nogi!

Daj mi hart woli!.. daj rzeźwiącą rosę,  
Abym przedwcześnie nie spoczął na marach,  
I nie padł z skronią strzaskaną w pół drogi!...



VI.

LUDWIK EMINOWICZ.

Oto mi Miłość w kwiat strzeliła cudnie...  
I po zwycięstwa idąc, nie po klęski,  
Wstępuję w życia słoneczne południe  
I dumę krzeszę z duszy i hart męski!...

Śnieżystem kwieciem ogrody mi kwitną...  
I przyszłość cudną w duszy mojej pieczę,  
I idę dumny w dal jasną błękitną,  
I piersi słodkie wstrząsają mi dreszcze...

W hartowne duszę mą skowałem spiże,  
I wyplenilem z niej zielska i chwasty,  
I na przód idę na bój po wawrzyny!...

Przed nikim dumnej głowy nie poniżę,  
A gdy polegnę jako lew grzywiasty,  
Zostaną po mnie syny moje — czyni!...

NA WIOSNĘ...

Widziałem cię, o śmierci! Senna, zamyślona,  
Schyliwszy łęć kwitnący do cudownej twarzy,  
Marzyłaś u wschodzących wiosny wirydarzy,  
Jak uczyć te pierwiośnie kwiecia, jak się kona...

Wiatr szeptał, żeś miłością jest, że twe ramiona,  
Po których woń płynęła z rozkwitów ołtarzy,  
Naucz liść zaranny, jak się nicość marzy,  
Ruń śmiała się, żeś przyszła kwiatów Antygona...

Spojrzałaś... Ha... prześliczna čmo cmentarnych ciemnic

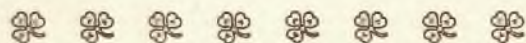
Jutrzenkę snów roślinnych całująca w usta,  
Jak Judasz, — puls niemowląt okradłaś z tajemnic,


By kiedyś czar kołyski wsnuć w zatracień klęcia,  
Jak słodki nęć w truciznę,... i naiwnie pusta  
Tchnąć w starce głód ukojeń — echem snów dziecięcia...

W NOCY...

Już słodka pieśń słowika obłąkała kwiaty,  
Niedola dni ptaszęcych śni skrzydlate losy;  
Ze śnieżną siostrą brzozą srebrne gwiazd wykłosa  
Spotkały się w topieli miesięcznej poświaty...

Cyt... Sowioskrzydła cisza zaskoczyła światy...  
Ktoś stąpa... Żółwim krokiem idą drzew kolosa,  
Zawodząc hymn prastary, szalony, bezgłosa —  
Błękitów dzwon przesącza milczeń aromaty...





O drzewa! jestem z wami samotna myśl ziemi,  
Z powieścią waszych gościów smutek mój ożenie,  
Wyniosłość waszych milczeń rozwiążę w westchnienie,  
I będę wam wtórował tętny bezsennemi,  
O drzewa! — i żółwim krokiem idą drzew kolosy,  
Zawodząc hymn prastary, szalony, bezgłosy...

W PARKU...

Usiądźmy. Morze zwiądu... cisza... i martwota...  
Czy słyszysz? Jędze chłodu przelewają jesień...  
Żal smęci w przedmogilnym szumie drzewnych piesień;  
Na święto jadobrania ciągnie śmierć i słota...

Jaskółki zimy lecą na skrzydłach ze złota  
Otrute belladoną zórz, co stygną w jesień,  
Schorzałe w sennym spadku falujących wzniesień  
Zlatują z drzew na zawsze w kraj ciemnic i błota...

Czy słyszysz? Wiatr zawodzi... Znam go: Błada, drżąca  
Dziecina siwooka w odzieniu prostaczem  
Przebiega po alejach i patykiem trąca  
Balaski drzew — lecz dzisiaj zbyła igry zbożnej,  
I płacze tym dziecięcym, chytrym, dziwnym płaczem  
Uczonym przez Sybille-łzy, iż jest przemożny...

W. FELDMAN.

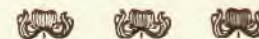
CIEŻKA CHWILA.

DUCH ZGUBIŁ SKRZYDŁA SWE...  
ULECIAŁA MOC —  
MINĘŁY JASNE DNI...  
NOC... NOC...

POGASŁY ŚWIATŁA GWIAZD,  
CIEMNOŚĆ PŁASZCZ SWÓJ TKA...  
PTAK ZBURZONYCH GNIAZD  
ŁKA... ŁKA...

WSRÓD GAŚZCZU SYCZY WAŻ,  
ŚLAĆ JAD SWOICH TCHNIEŃ...  
NA ZIEMI ROŚNIE WCIAŻ  
CIEŃ... CIEŃ...

COŚ KOCHAŁ, PRAGNAŁ, ŚNIŁ,  
MKNIE PO ZGLISZCZACH W DAL...  
ŻRE SERCE GRUZÓW PYŁ,  
ŻAL... ŻAL...





F. BRYK.

## SEGANTINI.

Daleko za ocean powędrowało jedno z najcenniejszych dzieł malarstwa XIX wieku, obraz niewielki, przedstawiający siebie. Chłop w czerwonej bluzie, w niebieskich spodniach, kroczy z powagą i rzuca w daleko rozciągającą się przed nim rolę, ziarna żyta. Złowróźbne wrony unoszą się nad nim, a niebu już zmierzch zagraża.

Tym wieśniakiem — to chłop Millet, twórca tego obrazu; to jego bezwiedny własny portret. Bo Millet, wprowadziwszy poraz pierwszy na scenę malarską chłopca, nie owe pośmiewisko z karczemnych obrazów Brouwerów, van Ostade'ów, Teniersów, ani też owych za pastuchów poprzebieranych paniczków Bouchera i Watteau'a, lecz chłopca, tego kapłana pracy, stał się przez to siewcą. Zasiał ziarna nowej rośliny, nieznaney dotąd — motywy pracy sielskiej.

A roślina ta okazuje się wytrzymałą na klimat i kulturę, ziarna jej kiełkują, rosną i wydają takie owoce, jak prace Segantinięgo.

...*natura artis magistra.*

Trzy państwa toczą spór o Wielkiego. To już nie z baśni wyciągnięte właśnie owych 7 miast greckich, o miejsce narodzin śpiewaka ludu — to trzy wielkie państwa: Włochy, Austria, Szwajcarya o zaszczyt nazwania go swoim.

Ciekawą jest taktyka Austrii. Jej ministerium oświaty wydaje epokowe dzieło o Segantinię, by uczcić „swęgo“ syna — choćby po śmierci. Wysłała w tym celu Servaesa, następcę Ranzoniego, do Włoch, by zaczerpnął pewnych dat o życiu tegoż artysty. Bo życiorys Segantinięgo bogaty w przygody; coś w nim na błagę zakrawa, coś w nim cygańskiego, coś przypomina bohatera z jakiejś modernistycznej powieści. Ale na widok jego obrazów, tchnących tak szczerością, to chyba już nikt na chwilę nie zwątpi, że Segantini był pastuchem świń, że uciekł

z domu poprawy, bo go paleta i farby bardziej nęciły, aniżeli kopytko i pocięgiel; kto zaś czytał jego własną biografię, napisaną z iście poeowską wyobraźnią, ten zaraz jakby z ilustracji do tego „*credo*“ artysty, z własnego portretu tego pustelnika alpejskiego, z twarzy podobnej do Chrystusa, odczyta wyrazy cierpienia... bólu... męczeństwa.

Tak jest! Segantini wiele przecierpiał! a cierpienie swe uspokajał w zamysłowaniu do przyrody „tej czarodziejki bezlitosnej, rywalki zawsze zwycięskiej“. I znalazł ukojenie, gdy zdala od ludzi wsłuchiwał się w rzewną nutę jej żywiołów.

Czy ją „mały Janko“ już nie wtedy polubił, gdy na zielonej nizinie lombardzkiej wypasał swe trzody świń lub stada gęsi? Tak jest! został sobie wiernym. To też maluje wszystko to, co za młodu widział: i poczciwe zwierzęta, które nas żywią i z nami się żyły i glebę, tę świętą „gaeę“, na której zboża dojrzewają, która się stroi w szmaragd łąk i żółtość ścierniska i wieśniaków pracowitych, rolników, pastery... , a jako tło gdzieś w dali pasmo gór — słowem przyrodę.

Ale jak?

Pod tym względem stoi on sam, nie mając sobie równego. Jego oryginalnej technice, dzięki której obraz otrzymuje pozór mozaiki, jego zupełnie odrębnemu poczuciu kolorów, ma to do zawdzięczenia, że go nie można naśladować, chyba że się popełnia świętokradztwo — plagiat. W ten sposób jego technika, którą nabył przez pilne studyowanie harmonii barw, chroni go od naśladownictwa, jest ona dlań niejako marką ochronną, nie potrzebującą dpatentowania.

Poentylista ten wyróżnia się od większości impresjonistów, że nie maluje li dlatego, że tu ma ciekawe studyum kontrastu barw, tam oryginalny światłocień, tu znowu trudny problemat kolorystyczny. Ideaż ze wszystkich jego obrazów, jest przyroda; ją maluje, ją indywidualnie odtwarza. Idea więc, a nie problemat pcha go do tworzenia.

A mimoto krytyka skazuje tego indywidualistę na pewną zawistość od mistrza z Barbizonu. Zapewne wywarł nań Millet stanowczy wpływ. Znał wprawdzie tego Francuza tylko z reprodukcji fotograficznych,



ale to wystarczyło, by umocnić w Segantini marzenia z jego lat dziecięcych, zamiłowanie do pracy, do przyrody. Wpływ ten uwidacznia się najlepiej z powtórzenia tematów milletowskich przez Segantiniego jak „siejba“, „gleba“, „strzyżenie owiec“, lub „powrót z roboty“. Ale powtórzenie tych samych tematów, które zresztą każdemu dziecięciu przyrody same na myśl przyjść muszą, nie jest bynajmniej indycentym z naśladowaniem.

„Angelus“ Milleta i „Ave Maria“ Segantiniego najlepiej nam ilustrują zupełną indywidualność u obu. Dwa indycentne tematy; a jaka w nich różnica pomysłów kompozycyjnych? choć z obu obrazów dolatuje do nas ten sam głos dzwonu, na Anioł Pański wołającego: „*Angelus domini nunciavit Mariae*“, choć w obu dziełach ten sam religijny nastrój.

Millet wywołuje to uczucie malując dwoje „antedyluwialnych“ z ziemią zrosłych ludzi, gdy im głos dzwonu w pracy polnej przeszkadza i do modlitwy nawołuje. Segantini nasraja nas na nutę pełną pietyzmu „Ave Maria“, odtwarzając spoczynek przyrody. Słońce zachodzi; widzimy je, jak z nurt jeziora czy morza ciekawie wygląda. A uginająca się pod ciężarem znużonych owiec prymitywna łódź, dąży do przystani, do domu — na spoczynek. Czujny pasterz, trzoda, wszystko zasłuchane w melodyę dzwonu.

Góry trudno malować. Ten majestat, który w nas przez swoją masę, przez swój ogrom włączają, ten chaotyczny ton, z jakim nam opowiadają swe dzieje strasznych kataklizmów, tego chyba nikt nie odda. O tem Segantini dobrze wiedział. Toteż nie maluje samych tych gór, przywodzących na myśl Cuviera, lecz te (choć poważne, bo Alpy), których gleba podatna pod uprawę roli, gdzie się trzoda kóz i owiec i krów wypasa, te góry, które jeszcze ostrze pługa dosięga. Tylko w dali jakby na kontrast dla ciemnobłękitnego nieba, ciągnie się łańcuch śniegiem pokrytych Alp, z których wionie lekki wiatr zimny, górski. A powietrze to przezrocyste, zimne tak mile czuć się daje; to ni błaga, ni frazes, ni przesada krytyka.

Segantiniego pejzaże, to zapowiedź przyszłego monumentalnego malarstwa krajobrazowego, bynajmniej nie w rodzaju „peysage intime“ Stanisławskiego lub Dilla. Nieraz Segantini wysławia się symbolem. Ale czy to „Nirwana“, czy „źródło zła“, czy „dziecię miłości“, czy „złe matki“, zawsze on ten sam dobroduszny Segantini, który pokochał może jak nikt zwierzęta, rośliny, głązy, wszystko co tworzy naturę. Ją maluje — to jego wołapik, zrozumiały dla każdego. Od tendency on daleki, bo za dobrze zna cel sztuki. A takiego mistrza, powiem Geniusza — ludzkość za życia nie oceniła, pozwoliła mu marnie zginąć, gdzieś w jakiejś chacie góralskiej na szczycie jakiejś odludnej góry -- chyba dla tego, że był człowiekiem pracy, że miał serce szlachetne, a fałszu i obłudy nie znał.

Na uznanie nie liczył — stronił od ludzi. Dał im poznać, mówiąc do nich takimi dziełami jak „powrót do ojczyzny“, lub tą gwiazdką jego twórczości „tryptykiem“, gdzie to święte *πᾶντα θεῶν*, ten odwieczny strumień życia przyrody obrazowo odtworzył, że wie o ich czarnej niewdzięczności, że go wprowadzą na pola elizejskie do szeregu nieśmiertelnych — ale po śmierci.

Było to ostatniem słowem jego pędzla.





KAZIMIERZ LASKOWSKI. (El.).

\* \* \*

Będzie mi może kiedyś policzone,  
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,  
Lecz zawsze trwałem temu słońcu bliski  
Co mi w łzach matki błysło u kołyski,  
Że mi najdroższe wydzwaniały echa:  
Próg mój ojczysty i wieśniacza strzecha,  
I że dla świata, co był moim światem,  
Pragnąłem zostać i czułem się bratem.

Będzie mi może kiedyś policzone,  
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone,  
Że mi się wstęgą w głębi serca wiły:  
Przydrożne krzyże, cmentarne mogiły,  
Że myśl jak oracz, szła bruzdami sochy,  
Śpiewała prochom i gadała z prochy,  
I że innego nie łaknąłem nieba,  
Prócz swoich ludzi i swojego chleba.

Będzie mi może kiedyś policzone  
I za marzenia i sny niewyśnione  
I to, że miałem nieraz ścieżkę twardą,  
I to, że miałem z rodu duszę hardą,  
I to, żem nigdy klątwom ucha nie dał,  
Że mogłem strwonić, alem nie zaprzedał  
I to, że smutki trzymając pod strażą,  
Chadzałem w życiu z uśmiechniętą twarzą.

Będzie mi może kiedyś policzone,  
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,

Że, jak tych mędrców betlejemska gwiazda,  
Mnie wiodła moja do cichego gniazda,  
Do tej wsi naszej, na kłosiste pola,  
Że mi tu była i dusza i wola;  
Żem ku tej ziemi miał oczy wpatrzone,  
Będzie mi może kiedyś policzone.


POD LIPSKIEM.

(Urywek z całości p. t. „W tym roku“).

Trzeci dzień wyły działa i marły gwoźdzone  
Broni ręcznej i męstwu zwierając obronę.  
Więc „On“ rozkazał naszym....

Wróg zewsząd osaczał,  
Czołgał się pagórkami, na doliny staczał,  
Zaciągając półkolem z południa i wschodu  
Sznurami zwartych kolumn, jak siecie niewodu,  
Coraz cieśniej — aż sięgnął skrzydłami wylotu  
Bram miasta, aby przeciąć drogę do odwrotu  
Orłom zdziesiątkowanym przez ołów i zdradę....  
Więc cesarz nam osłonić kazał rejteradę —  
Póki ostatnie za most nie przeciągnie działa,  
Nam kazał z stutysięczną zмагаć się nawałą,  
Bo wiedział, że z tych ludów na krwawej płaszczyźnie,  
My jedni szliśmy za nim z myślą o ojczyźnie.  
Więc rzucił wielką miłość macierzystych progów  
Jako ostatni wystrzał przed szeregi wrogów!  
I.... trafił!...

Słońce weszło na horyzont chmurny,  
Ziemia dymiła nakształt zapalanej urny  
Ofiarnej nad ciałami poległych i rannych! —  
Bój trwał, strzały padały w salwach nieustannych,



Żołnierz mierzył brnąc w miazdze ciał, krwi i ołowiu,  
Kłękał, — broń na zastygłym opierał tułowiu,  
Zabijał i sam ginął wśród granatów blasku!  
Osypany pociskiem, jak grudkami piasku,  
Zanim mu krew przelaną zapłacono krzyżem.

Nieprzyjaciel parł naprzód świecąc armat spżżem.  
Już dzwoniła po murach kartaczy ulewa  
Rekoszetem w lipowe uderzając drzewa,  
Już widać było z bliska tłumy „kajzerlików“  
Biegnące w przełaj ogniem zarzucanych szyków,  
Gdy adjutant cesarski przypadł do szeregów,  
Stojących prawym flankiem prosto Plejsy brzegów,  
Z rozkazem, że ma bronić miasto od zajęcia  
Korpus ósmym będący pod dowództwem księcia.

Księżę wódz przyjął rozkaz nie wyrzekłszy słowa.  
Skinął... zabrzmiała krótka komenda wojskowa.  
Zsiadł z konia, ręką wskazał ku Peterskiej bramie  
I wziąwszy krok podwójny, biegnąc ramię w ramię,  
Wiódł w ogień garstkę wiary, pogodny, spokojny —  
Rzekłbyś: danser z danserką na salonach wojny!  
Uderzono pierś o pierś!

Drugi pułk piechoty  
Zepchnął wroga bagnetem i osadził płoty.  
Pietnasty pod Rybińskim — licząc ludzi dwieście  
Dopadł bramy łańcuchem, osłonił przedmieście  
I prażył następując. A tak dobrze celili,  
Że się wnet plac od białych mundurów zabielił  
I szyki Colloreda wysunięte klinem  
Zwinęły się — jak owad lany wrzątku płynem  
W kłęb, — warcząc — zostawiwszy śmierci na zagładę  
Ciał ległych i ranionych krwawą barykadę!

Robiło się przestronniej, lecz bój wrzał zażarty...  
Księżę, mając w odwodzie Nadwiślański czwarty,  
Dostrzegłszy, że ćma jazdy szarżuje w podskokach,  
Ostatnie bataliony podniósł w czworobokach.  
A sam, pluton Krakusów wysunąwszy szpicą,  
Pognał wichrem! — Uderzył w środek błyskawicą,  
Rozdarł... Pluton zawrócił w luce przeciwnika  
Tnąc w odlew!...

Rozległa się w krąg melodia dzika  
Wystrzałów, chrzęstu stali, cięć, krzyków, tętentu,  
Klątw, jęków... Czasem sygnał zadzwonił z odmętu,  
Czasem konie bez jeźdźców, rozłamawszy szereg  
Rżały... W dymach przebiegał oddział furazerek  
Migocąc wśród zielonych mundurów i czaków  
Niby w koszonej łące pęk rozkwitłych maków!...  
Leciał! — Tratował... Z kopyt bryzgała krew! mógł!

Księżę nie dobył szabli, siekł pięciem szpicróżgi  
W pyski zabiegających mu drogę huzarów,  
A ci żdzierając konie ślepli jak od czarów!

Niebo spojrzało chwilę słońcem z pod Austerlic  
Na leżący pokotem stos ciał, broni, terlic,  
Jakby chcąc się napatrzeć tej walce olbrzymów,  
I... znikło przysłonięte nowym słupem dymów!  
Z boków od lewej strony ryknęło dział dwieście  
W Halską bramę... Wróg wtargnął, bój toczył się w mieście.  
Kolumny sprzymierzonych zalawszy ulice  
Zalały Macdonald'a i party ku rzece...  
Nagle ziemię wstrząsnęło jak w sądu godzinę!  
Księżę drgnął... spojrział... pojał... wspomniął Berezynę!  
Jęknął huk — jakby samo piekło biło w dzwony!  
Most wyleciał w powietrze! —



„On“ był ocalony,  
Bezpieczny za nurtami wezbranej Elstery —  
Tu marli ci z pod Nowi, Wagram, Samossiery,  
Ci wierni....  
Stwórca wejrzał w przeznaczenia księgi,  
I zesłał śmierć walecznym — zwalniając z przysięgi!

EDWARD LESZCZYŃSKI.

PRZEZ ŁZAWĄ RZĘSĘ.

W MGŁACH SIĘ WAŁĘSA  
PIEŚŃ SAMOTNICA;  
ŁZAWA JEJ RZĘSA  
KĄPIE SIĘ W SREBRNEJ  
TĘCZY KSIĘŻYCA.

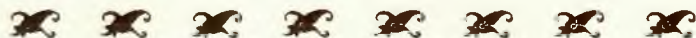
TĘCZOWĄ RZEKĄ  
PŁYNAĆ BEZGWARNIE,  
CICHĄ POWIEKĄ  
PRZEDZIWNE KSZTAŁTY  
MIŁOŚNIE GARNIE:

BŁĘKITÓW CUDEM  
ŁODZIE ZAKŁĘTE,  
NAD TRWOŻNYM LUDEM  
ROZSŁONECZNIONE  
W WITRAŻACH ŚWIĘTE.

A POTEK KRASNE  
DZIECINNE WZORKI  
I OD SERC JASNE  
POD LIP WIECHAMI  
ZACISZNE DWORKI.

I DOBRĄ DRIUCHNĘ  
NA GODACH Z BAJKI  
I UBOŻUCHNE  
W SIEBIE WSŁUCHANE  
PRZYDROŻNE GRAJKI.

I CO PAMIĘCI  
ZDAŁO SIĘ BŁAHEM  
A TERAZ NĘCI  
JAKIMŚ NIECHWYTNYM  
SZCZĘŚCIA ZAPACHEM.





TECZOWĄ RZEKĄ  
PŁYNĄC BEZGWARNIE,  
CICHĄ POWIEKĄ  
WSZYSTKIE TEKSZTAŁTY  
MIŁOŚNIE GARNIE;

A GDY SIĘ SMĘTNA  
W DUSZY POGRAŻY,  
JAK PIEŚŃ NATRĘTNA  
NIEMY KOROWÓD  
W DUSZY MI KRĄŻY,

AŻ TOŃ SERDECZNĄ  
MAR KOŁOWROTY  
PRZEMIENIĄ W WIECZNĄ,  
NIEUKOJONĄ  
BEZDEN TĘSKNOTY.



P. CHMIEŁOWSKI.

## POEZYJE BOGUSŁAWA ADAMOWICZA

(wydane przez B. Kozakiewicza. Paryż, 1903).

Przed kilku laty wydał p. Bogusław Adamowicz w Krakowie, własnym nakładem cieniutką książeczkę p. t.: „Tragedya krwi“. Weszła ona teraz w całości do zbiorowego tomu Poezyi świeżo ogłoszonego. Zmieniać w niej autor nic nie potrzebował, bo wszystkie w niej wiersze były już od początku jakby z brązu ulane.

Od tego działu sprawozdanie rozpocznę, bo jest jednym z najznamienniejszych w całym zbiorze i wykazuje siłę, jaka rzadko już w późniejszych z taką tryskała gwałtownością. Jest on nawskróś zmysłowym, i to jawnie, bez obsłonek.

Zmysłowości nie braknie, jak wiadomo, w utworach większej części młodych poetów; owszem, jej uwydatnianie jest jedną z cech „modernizmu“; ale ponieważ autorowie są zazwyczaj dotknięci neurastenią, więcej tedy igrają jeno z lubieżnością, pokrywając żądzę listkiem figowym rzekomego idealizmu, bezbrzeżnej tęsknoty, zniechęcenia do życia, dążności do unicestwienia i t. p.

Otwartym, otwartzym niż Tetmajer, rzecznikiem śmiałego i swobodnego rozwijania się chuci jest poeta „Tragedyi krwi“.

Styl jego jędrny i potężny, przypominający nieraz spiżowe dźwięki Leonarda Sowińskiego, wybornie się nadaje do odmalowania buchającej lawą namiętności i w niepowstrzymanym pędzie zrywającej więzy nie tylko konwenansu, ale i względów moralnych.

Zdaniem poety napróżno człowiek wierzy i ufa, iż duchem swym pokona żywiołową potęgę krwi, potęgę większą od siły trawiącego ognia, niszczącej wody, druzgocących burz i piorunów. Przed tą potęgą „Piątego żywiołu“ wiara „w strachu cofa się pierzchliwym, duch mroczy się, głos sumienia zcicha“, a nienawiść, zemsta, gniew kipiący pianą i „miłość — zbrodnia najmniej ze zbrodni zbrodnicza, lecz najbardziej



KAIN I ABEL.

WŁADYSŁAW RUDLIICKI.



STUDYUM.

WŁADYSŁAW RUDLIICKI.



POR'TRET.

HENRYK HOCHMAN.







złowroga i niepokonana“ — krzewią się w całej swej rozległości i natężeniu:

Głos woła: „Ja krew jestem... życiem świata całym  
Wstrząsam... Mózg ci się zmaci, gdy mój przypływ wzbierze,  
Gdy jak gromem uderzam w twoje serce szattem,  
Ty, bóg myśli zuchwałej, stracisz myśl jak zwierzę“.

Z takiego poglądu na potęgę krwi, której nie są zdolne ujarzmić żadne moce idealne, płynie uwielbienie nagości, bo „z ognia krwi zdrowej bucha płomień duszy czysty, i nic, jak żywe ciało, cudu jej nie streszcza“, płynie pogarda dla obłudy świętoszka, jak dla egoizmu błazna, pragnienie zderzenia zasłony ze wszystkiego, co tajemnicze, by poznać „Wielką Prawdę“ świata, wreszcie przekleństwo rzucone na rozpustę wyniszczającą płodność.

Autor nie lęka się ani słów, ani obrazów jaskrawych, gdzie idzie o napiętnowanie zbrodni przeciwnych naturze, z plastyką słowa niezwykłą wśród młodszego pokolenia odtwarza sytuacje, które w naszej przynajmniej poezji nie były malowane („Wstyd“, „Świętokradztwo“, „Wąż“); ale równocześnie nie cierpi udawania, ani tej rzekomej idealności, co to ma tylko pozory niewinne, a w gruncie jest objawem i wyrazem wyrafinowanego zepsucia.

Widocznie oddziaływały na p. A. wpływy francuskie, a zwłaszcza Lecomte'a de l'Isle z jednej, a Baudelaire'a z drugiej strony. Wyznać muszę, że te otwarte, czasami aż wstrętne wynurzenia krwi, warem kipiącej, szczerością i jawnością więcej mię rozbierają, aniżeli obłudne deklamacje pół- i ćwierć idealizmu, po za którym czuć się daje zgnilizna rozkładu. P. A. kreśli nie tylko normalną działalność zmysłów lecz i ich zboczenia a obłąkania; czyni to jednak nie dla lubieżnej igraszki, ale dla odmalowania tej potęgi niezwalczonej, jak sądzi, co w pewnych organizmach nadmiarem siły żywotnej rozpierając się, na bezdroża prowadzi. Autor, o ile mi się zdaje, nie torturuje swego umysłu. Sposób pisania jest tu pełen siły i obrazowości: rytm bywa tu i owdzie niemiły, ale zapewne nie bez zamiaru, ażeby i zewnętrznie

nawet oddać trawiący niepokój ducha świadomego swej bezwładności wobec szału krwi.

Bo chociaż p. A. nie ubiega się, na podobieństwo wielu dzisiejszych wirtuozów słowa, o nadzwyczajne bogactwo rytmów i o niepospolitość rymów, włada temi środkami artystycznymi swobodnie, tylko kiedy-niekiedy zadając gwałt przyjętym formom językowym (tysiącznemi... *oczy*, *krwawiącemi*... *bicz*, *srogich mę*), lub tworząc niezbyt udatne kształty słoworodowe *próchenne* ramiona).

W wyrażeniu uczuć łagodnych, tęsknych, tkliwych, marzycielskich nie jest p. A. takim mistrzem jak w okrzykach burzliwych i namiętnych, bo dość wyraźna skłonność krasomówcza staje mu na zawadzie.

Gdzie atoli wybucha, gdzie potok wymowy może popłynąć wartkim nurtem, tam poeta odzyskuje całą swą potęgę. To też obok „Tragedyi krwi“ postawić zaraz można prawie wszystkie te utwory, których nastrój a poczęści i treść od czasów „Satyry“ Sowińskiego niemal były znikły z dziedziny poezji naszej.

W utworach tych („Veto“, „Rapsod ludzkości“, „Dzwon“, „Hunnom“, „Maska“, „Wicher nam żagle pozdzierał“, „Na starej harfie“), odczuwając ból straszny z powodu zmalenia dusz, wylewa gorzkość swego serca i piętnuje nędzny oportunizm, brak prawdziwej odwagi, niezdolność do czynu, znieczulenie na obrazę wszelkich wznioślejszych uczuć zarówno w zakresie prywatnym, jak zwłaszcza publicznym.

Cywilizacja dzisiejsza wydaje mu się stokroć gorsza od barbarzyństwa średniowiecznego, zwłaszcza gdy mu przychodzi na myśl zacięta, nierozumna, wściekła nienawiść Prusaków do żywiołu polskiego.

„Noc, noc bezbrzeżna obsiadła narody. I z serc i z czynów taka nicość ziele“, — wydziera mu się okrzyk z piersi na widok nikczemności spełnianych w imię „doskonalszej cywilizacji“. Pragnąłby, ażeby istotnie pojawił się znowu w Europie „bicz boży“ Attyla i obrócił w perzynę wszystko, co wzniosła zarożumiała a nikczemna pycha. Okrucieństwa Attyli jednak nie były tak straszne, jak dzisiejsze morderstwa dokonywane na duchu; on zabijał ciała zgangrenowane już

przeciwilizowaniem, lecz duchowej strony ludzkości się nie dotykał, nie przybierał „świętej misji archanioła, oświecającego drogę ku „wyższej kulturze“, nie szedł cywilizować barbarzyńców, niosąc im... choroby...

A mówiąc o dzisiejszych „misyach“ cywilizatorskich pomiędzy dzikimi, woła:

Cóż ludom wasza oświata, rozumy?  
Z rozumem waszym po szynach z żelaza  
Nie postęp jedzie do nich, lecz — zaraza...  
Cóż że ich leczyć będziecie od dżumy  
Gdy dżuma gwałtu z waszych misyi bucha,  
Z bałwanów waszych, którym niemasz końca...  
Cóż że im dacie wasze sztuczne słońca,  
Gdy noc zagłady z tych słońc dymi głucha.  
I jakżeby też miała uczyć ducha  
Analfabetów nikczemna gromada  
Co głosek serca świetlanych nie umie  
Czytać?!..

Jak w ogólnej cywilizacji europejskiej oburza poetę bezmyślny egoizm narodowy i materialistyczne jeno pojęcie (i praktykowanie) kultury; tak w jednostkach bliższych mu rodem strasznym przejmują go gniewem: „ślepa obłąkana trwoga“, „szczękający zębami jęk zgrozy“, „bładość tchórza śmiertelna“, „strach nie ludom przystojny, lecz... trzodzie“, i pragnąłby gorąco, żeby mu kłam śmiertelny zadano — czynem.

Nieźrównanie silny i piękny jest wiersz: „Wicher nam żagle pozdzierał“ i niektóre zwrotki w „Veto“. Okazanie tego orzeczenia za pomocą cytat, lub choćby dobitnych streszczeń, zbyt dużo zająłoby tu musiało miejsca; muszę się go wyrzec, odsyłając czytelnika do samej książki z zapewnieniem, że trudu nie pożałuje, bo się przekona, iż i obecnie wśród powodzi wierszy, poświęconych „smutkom blahym“ jednostkowym, ukazują się od czasu do czasu dźwięki przypominające Izajaszów i Ezechielów, zwrócone do serca ogółu czującego i myślącego nie tylko o flircie i obrotach giełdowych.

A jak w „Tragedyi krwi“, tak i w tych poezjach odczuwa się nie przemijający, chwilowy nastrój, lecz głębokie, z duszy płynące przekonanie.

JAN PIETRZYCKI.

Z „TRYUMFÓW“: TABUN.

Przez ściernią najeżone puszczy dzikich wykroty  
Pędzą mego szczęścia rozrukane konie.  
Dziwnych mocy płomienie czując w młodem łonie  
Krwia nabiegłe ich serca wałą w pierś, jak młoty!

Przez ściernią najeżone wykrotne ostępy  
Wioną grzywy, wichrową rozigrane mocą.  
Chyże, młode rumaki! Hej, zdążyć przed nocą!  
Kopytami kamienie i grudek drzeć w strzępy!

Pędzą w strasznych tumanach, a słońce im krwawo  
Płonie światłem tryumfu i pali źrenice.  
Wicher złotą po drogach zamiata kurzawą.  
Pędzą w blaskach zachodu — pierś z wichrem szamocą.  
Zapaliło im słońce w ocz głębiach gromnice,  
Zapaliło pożary, nim zgaśnie przed nocą!

FLOTA.

Nad toń morza ma flota podnosi swe żagle,  
Siłą wiatru nadęte i w słońcu błyszczące.  
Krwia ociekłe nad wodą zbudziło się słońce  
I szkarłatną ulewą uderza weń nagle.

Na pokładzie rycerne zastępy — płonące!  
Złote bruzdy po morzu za statkiem się wloką,  
A na masztach, rozwianych na wicher, wysoko  
Huczą trąby, modlitwą brązową grające.

Rozszumiały się wody... to wzniosą fal grzywy,  
To jęk tłumiąc, na rafy skaliste upadną.  
— Dniu potęgi! Dniu krwawy, tryumfem szczęśliwy!...  
Oto w hymnów twych złotej, zwycięskiej tyradzie  
Słyszę głuchy głos śmierci... — po wodach się kładzie  
I ze śmiechem szyderczym upada gdzieś na dno!

#### DZWON.

Na arkady wtoczyłem dzwon kształtem potworny  
I ukryłem się w niszy ciemnego klasztoru  
Rad, że gromem rażony krwawego wieczoru  
Dzwon się ozwie potęgą wśród ciszy klasztornej.

Serce dałem mu własne, pogromom przytomne,  
Twarde liny rzuciłem na wiatru poświsty.  
W rannych brzasków powodzi pąsowo ognistej  
Złotem szczęściem mu łono rozbłysło ogromne.

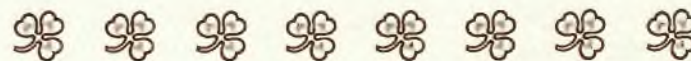
Wyężony wzrok rzucam na arkad wiązadła,  
A żar dziwny mi z mózgu wypełza i trwoga.  
Drżące dłonie wyciągam do dzwonu widziadła,  
By spiżowy hymn, gromem bijący w tum Boga,  
Nie rozerwał im serca i z wyżyn — przeklęty  
W dół nie runął — dzwon Mocy o piersi pękniętej.

#### POSAGI.

U kościoła półmroczonej kopuły — z nad chóru  
Patrzam stare posągi w tajemną głąb nawy.  
Ongi rzeźbiarz, co twórcy czuł w mózgu żar krwawy,  
Twardym młotem zakował nas w kształty marmuru.

Poprzez stare witraże blask słońca złotawy  
Na oblicza nam jasnych porzuca barw tęcze.  
Nocą światło lamp siecie rozpina pajęczne  
U stóp naszych ogromnej, ciosowej podstawy.

Stoim w ciemnych absydach surowi i święci,  
W mrocznej ciszy na gwiazdach kamiennych rozpięci,  
Tryumfalni, snem modlitw olbrzymi — jak ongi,  
Gdy pod dłótę z niekształtnych, surowych kamieni  
We wiosennej powodzi słonecznych płomieni  
Wstawaliśmy do Życia... kamienne posągi!...





JÓZEF GARDECKI.

## RZEŹBIARZE.

Obraz sceniczny w 1 akcie. Rzecz dzieje się w Akademii Sztuk Pięknych.

*Pracownia rzeźbiarska, porozstawiane kawalety, na nich figury szmatami pookrywane; ciemno, w tylnej ścianie pracowni okno, a przez nie wdziera się szeroka smuga światła księżycowego; sylwety figur na jasnym tle okna czynią wrażenie groźne, tajemnicze. Na pierwszym planie sceny, przy oświetleniu małej świeczki Joselowicz maluje swoją rzeźbę. Z początku dłuższe milczenie, potem Herszman do Joselowicza:*

HERSZ. No, jak pomalujesz to oddasz na wystawę?

JOSEL. Oddam.

HERSZ. A jak nie przyjmą?

JOSEL. Co głupi, nie mają przyjąć, gorsze knoty są na wystawie i przyjmują. Patrz, ta ręka jest zła, jaki ona ma wyraz.

HERSZ. Oj, jak kupią! Może kto kupi?

JOSEL. Co niema kupić.

HERSZ. Spłacisz długi i nie będziesz miał ni „ślepcą“, ni pieniędzy.

JOSEL. No, to chociaż spłcę.

*(Joselowicz bez przerwy pracuje. Herszman w milczeniu przechadza się po ciemnej przestrzeni pracowni. Po chwili zaczyna rzewnie śpiewać religijne pieśni żydowskie. Pukanie do drzwi).*

JOSEL. Proszę.

*(Wchodzi Trzciniowski i nieodłączny towarzysz jego: Pępkiewicz herbu Gondawa).*

TRZCIN. Cóżto szanowna hołota zamiast rysować wieczornego modela, gipsy pędzluje?

JOSEL. Cicho...

*(Na kurytarzu słychać śpiewaną silnym basem pieśń „Hej tam na hori“. Wchodzi Lewiński).*

JOSEL. Cicho!...

LEWIŃ. Cóżto to ta szabas, że świeczki palicie?

JOSEL. Tak, szabas.

*(Herszman wychodzi).*

JOSEL. Herszman, gdzie idziesz?

HERSZ. Zaraz przyjdę.

TRZCIN. Słuchajcie Joselowicz, czy to prawda, że ten pan z długimi włosami to ex-rabin?

PEP. I podobno żonaty.

JOSEL. Po co wam to wiedzieć?

LEWIŃ. No mów Joselowicz, mów! *(udaje żargon)*. Coś miszłał, jak stajesz do wszechświatowy konkurs, to na pytania odpowiedź nie dajesz?

JOSEL. Kiedy wy zawsze małpujecie.

LEWIŃ. Ale gdzie ta, pytamy się poważnie.

JOSEL. No jest podrabim i żonaty.

TRZCIN. A z kąd on przyjechał?

JOSEL. Z Łowicza. Dał drapaką od rabinów, bo chce rzeźbić.

LEWIŃ. *(udaje żargon)*. Chce być drugi Antokolski!

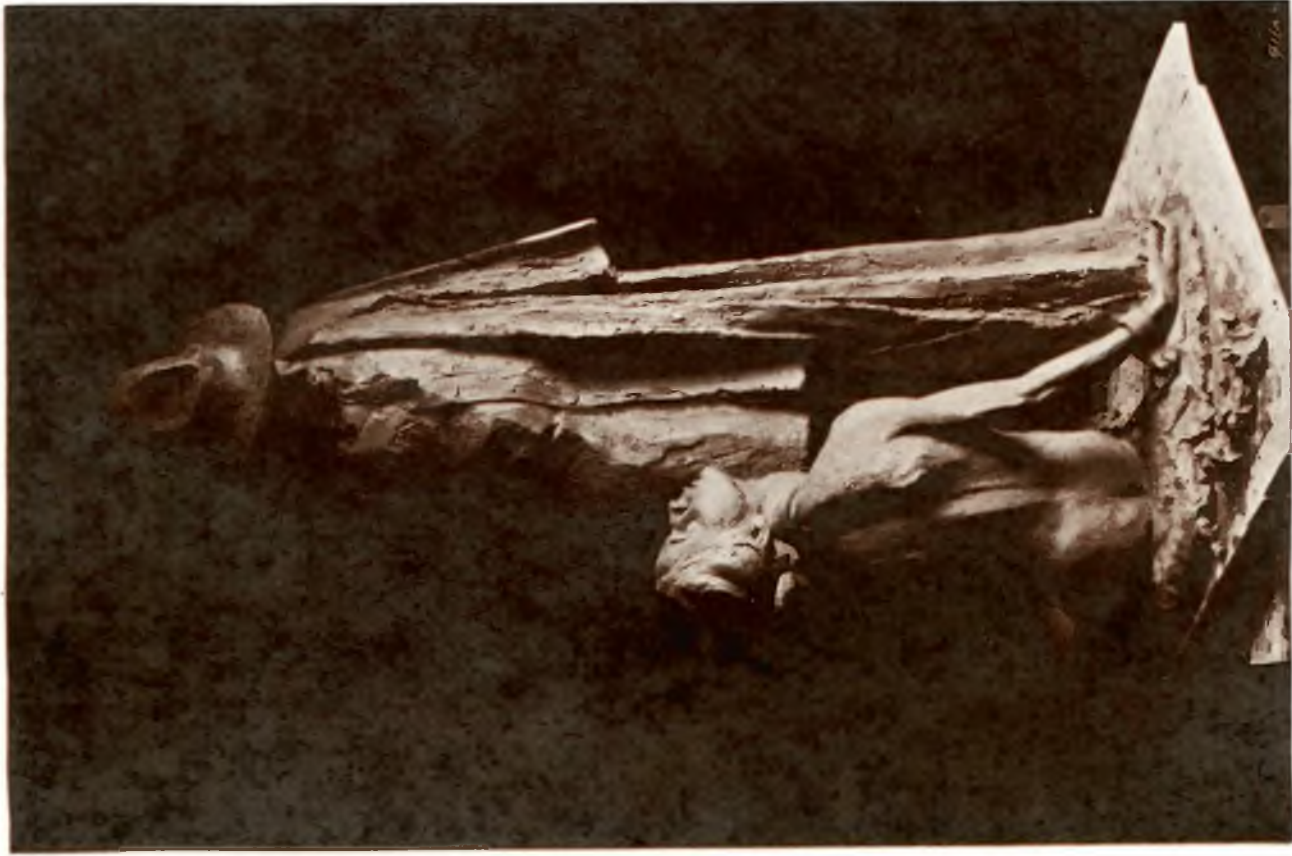
JOSEL. Może większy.

PEP. A z kąd ma pieniądze?

JOSEL. No idź do dyabła, no nie wiesz, co Biegas gdy go wynalazł napisał o nim artykuł, znaleźli się zaraz protektorzy i dali stypendyum. Biegas mówi, co to jest genjusz i ja wam powiadam to samo.

*(Wchodzi Herszman i ginie w mroku pracowni. Podczas następnych kilku scen trzyma się zupełnie na uboczu, tych, którzy się teraz przez scenę przesuną nie zna, z życiem ich nie ma nic wspólnego).*

TRZCIN. Jak te ścierwa żydy wzajemnie się wspierają. Ja mam medal, długie włosy, portki obciste, wysokie obcasy, no i wcale ludzką powierzchowność, a żadnego z warszawskich burżujów na stypendyum nabrać nie mogłem. Żegnajcie hołoto! Chodź, Gondawa. *(wychodzą)*.



JÓZEF GARDECKI.





*(Na kurytarzu słyhać hałas, nad którym dominuje jakiś wrzaskliwy głos. Hałas zbliża się ku drzwiom sceny, wreszcie się od nich oddala).*

LEWIŃ. Oho! Brzeziński znowu urządza jakąś burdę.

JOSEL. Bez tego przecie by nie żył.

*(Wchodzi Góral i Radliński).*

GÓRAL. Przychodzimy obejrzyć ślepca.

LEWIŃ. *(do przybyłych)* Co się tam stało?

*(Wpada Brzeziński, mówi gwałtownie).*

BRZEZIŃ. Bić po pysku i koniec!

LEWIŃ. Kogo, naco, zaco?...

BRZEZ. Wyobrażcie sobie, przechodzę wczoraj plantami, na przeciw mnie idzie któryś z nowo przyjętych lalusiów. Nigdy bym mu się nie kłaniał, gdyby nie to, że szedł z kobietą. I co powiecie? pan ten nie odkłania mi się. Robię mu teraz na kurytarzu uwagę, że: primo, on jako uczeń nowoprzybyły pierwszy powinien mi się kłaniać i secundo, zapowiadam, że gdy raz jeszcze spotka mię podobna odpowiedź na ukłon, to zwałę w mordę!

RADL. Ten ostatni argument musiał go najbardziej przekonać.

BRZEZ. Ty siadaj!

LEWIŃ. Bo po co ta robić awantury, niekłaniać się hołocie i koniec. Potem ta tylko sprawy honorowe, sądy, wyroki, słowem nieprzyjemności.

BRZEZ. *(gwałtownie)* Na wasze sądy honorowe i wyroki ja gwizdzę, rozumiesz! O, u mnie sąd! *(pokazuje wyciągniętą prawą rękę)*. Strzelam, tłukę i koniec! *(tagodnie)* Słuchajno Joselowicz, pożycz szóstkę.

JOSEL. Człowieku, nie mam.

BRZEZ. *(do Lewińskiego)* To pożycz ty, nie mam na kolacyę.

LEWIŃ. Ta ja sam obiadu nie jadł.

BRZEZ. *(do Radlińskiego)* Władus, ty daj, tyś chłop porządny.

*(Radliński sięga do kamizelki, daje).*

BRZEZ. Serwus, chłopcy! *(wybiega)*.

GÓRAL. *(za odchodzącym)* Zdolny i poczciwy chłop, a tak mało robi.

LEWIŃ. Temperament i awantury zgubią go.

RADL. Doczeka się on jeszcze, że mu nosa przytrą, trafi kosa na kamień i będzie bieda! A już myślałem, że po ostatniej awanturze i po niedoszłym ztąd pojedynku usatkuje się, ale gdzie tam.

GÓRAL. A wiecie wy o tem, że zrobił w niedzielę na plantach hecę z jakimś aktorem?

LEWIŃ. Aha! Ta nadeptał mu buciki lakierowane, ma wstręt do lakierowanych bucików.

RADL. Wiecie, że to już wstyd...

LEWIŃ. Ta rozumie się, bo ta do czego takie szopy prowadzą?

*(Pukanie do drzwi).*

JOSEL. Proszę.

*(Wpada Satyrski).*

SAT. Dobry wieczór! *(wita się ze wszystkimi, mówi nerwowo, entuzjastycznie)*. Słuchajcie, który z was wybierze się ze mną jutro do teatru? Widziałem wczoraj Kamińskiego, — powiadam wam bajeczny! bajeczny! To jest dopiero artyzm. No, przecież grają, grają inni, ale w jego grze jest tyle czegoś nowego, tyle życia! E! więcej niż życia. Jest w tym „coś“, wiecie, owo „coś“, z kąd się naprawdę sztuka zaczyna.

LEWIŃ. Tak, to bajeczny aktor, nie robi, a tworzy!

SAT. Nie pojmuję tylko, — jak szczerzy aktor może tak prostytuować swój talent. Przecież każdy inny artysta ma swobodę: malarz, rzeźbiarz, poeta, kompozytor, każdy z nich tworzy kiedy chce, jeden tylko aktor jest kółkiem maszyny tego rodzaju, że musi tworzyć wtedy, gdy zegarek pokazuje godzinę siódmą. No przecież to prostytucja!

RADL. Ty jako rzeźbiarz i aktor, możesz się nad tem rozczulać.  
SAT. Aktor, nie aktor, ale tworzyć przecie wtedy tylko można, kiedy się chce samemu, nie kiedy bije godzina siódma.  
LEWIŃ. Bardzo to wszystko pięknie, ale ja już do domu iść muszę.  
GÓRAL. Ja też.  
RADL. A więc idziemy.  
JOSEL. Poczekajcie chwilkę i ja pójde z wami. *(do Satyrskiego)* Słuchajno Józef, dokończ mi to, jest tu już roboty bardzo niewiele, za dziesięć minut skończysz, mój drogi, bo ja wyjść muszę. A która tam godzina? *(zrzuca bluzę, okrywa się zarzutką)*.  
RADL. Wpół do dziewiątej.  
JOSEL. O jej, jak późno! Mój drogi Józefie dokończ mi to, ręczę ci, że za dziesięć minut skończysz, o patrz, tym kolorem. *(Żegnają się wszyscy z Satyrskim i wychodzą)*. Herszman, a ty nie idziesz?  
HERSZ. Nie, zostanę chwilkę.

*Herszman mówi rozwlekle, głosem rzewnym, smutnym, wymowa jego robi wrażenie śpiewanej modlitwy. Wyraża się po polsku, niepoprawnie.*

JOSEL. A pamiętajcie na klucz tu zamknąć.  
SAT. Dobrze, dobrze *(maluje)*.  
Dla czego nie poszedłeś z nimi?  
HERSZ. *(Po chwili)*. Nie chcę.  
SAT. Czemu?  
HERSZ. Boję się przysunąć do tych ludzi... Mnie ta wrzawa tak razi...  
SAT. E, przesadzasz.  
HERSZ. Niewiem, ale zdaje mi się, że wielu z nich tak małą ma wspólność ze sztuką.  
SAT. Nie przeczę, ale warto żebyś się do kolegów zbliżył.  
HERSZ. Nie mogę, nie mogę...  
SAT. To źle. Cóż ty dziś po południu robiłeś?  
HERSZ. *(cicho, wstydliwie)*. Rzecz, która mnie gniecie.

SAT. Tak? to ciekawe. Czy tu na kursie? Może mnie pokażesz?  
HERSZ. *(wstydliwie)*. Nie warto.  
SAT. No mów, gdzie stoi, zobaczę. *(Bierze w rękę świecę, Herszman prowadzi go do kawalety, zdejmują szmatę z rzeźby)*.  
SAT. No, no, wiesz, że ciekawe... tylko tego to nie rozumię?  
HERSZ. To ma być... e, zresztą mówić nie warto, sam kiedyś zobaczysz. *(Satyrski zabiera świecę i w dalszym ciągu maluje „ślepcę”, Herszman okrywa swoją rzeźbę szmatą)*.  
SAT. Słuchajno, Herszman, podoba ci się ten ślepiec?  
HERSZ. Owszem, podoba, tylko zdaje mi się, co zamało w tym granie muzyki, a za dużo fałdów.  
SAT. Otóż to właśnie, otóż to! *(zapala się)*. Prawdziwy artyzm, jest to branie z życia tych tylko rzeczy, jakie nam są potrzebne. Można brać nawet więcej niż życie daje, trzeba tylko wiedzieć co brać. Miernota bierze wszystko i ani mu przez myśl przejdzie, że biorąc wszystko nie bierze nic. Pomija punkta podkreślające rzecz, gubi nieopatrznie to, co dla doskonałości dzieła należało zachować, a podejmuje, pielęgnuje i otwacza to, bez czego się doskonale obejść można. Wszak nie wszystko co jest, jest człowiekowi potrzebne, a tem mniej sztuce. Wszak wiele odpadków i nieużytków wala się wkoło nas i my nic na to, artysta tembardziej zwracać powinien uwagę co brać, a co kopnąć należy! co mu jest potrzebne, a co nie.  
HERSZ. Właśnie, właśnie, po co brać wszystko...

*(Podczas gdy Satyrski maluje, Herszman biegnie ku swojej pracy, dźwiga ją i zwala do paki gromadzącej nieużyteczną glinę)*.

SAT. *(podbiega)* Co robisz?!  
HERSZ. *(cicho)* Zwałem.  
SAT. Nie rozumiem Cię? Może to, co powiedziałem do siebie wzięłeś?  
HERSZ. Nie, ja nawet zauważyłem, że ty masz ogromną rację.  
SAT. Ja nie mówiłem tego ani do Joselowicza, ani do ciebie, mówiłem ogólnie.



HERSZ. (*dobitnie*). Zwaliłem, bo nie wszystko robić można.  
SAT. Nie rozumiem Cię?  
HERSZ. Mój drogi, człowiek wielu rzeczy zrozumieć nie musi.  
SAT. Czy ty się gniewasz na mnie?  
HERSZ. Ale co znowu, o cóż by?  
SAT. Naprawdę?...

*(Podają sobie ręce. Satyrski wraca do malowania ślepca, Herszman przechadza się po sali. Dłuższe milczenie).*

SAT. Słuchajno, Herszman, jedziesz ty na święta do domu? Ja nie jadę, będzie mi tu w Krakowie smutno ogromnie.

HERSZ. Ja też nie jadę, bo po co? Tam żaden żyd rozmawiać ze mną by nie chciał.

SAT. T...a...k...?

HERSZ. Pobożnemu żydowi niewolno z takim jak ja się wdawać.

SAT. Więc nie jedziesz?

HERSZ. Nie, choć żona moja bardzo mnie o to prosi (*stłumione westchnienie*).

SAT. Ale, a propos twojej żony. Słuchaj Herszman, zechcesz ty ze mną o tej kwestyi porozmawiać szczerze?

HERSZ. Owszem, czemu nie?

SAT. (*przestaje malować*). Otóż powiedz mi, czy stan twój małżeński i to małe dziecko nie krępują twoich zamiarów artystycznych? Czy, kiedy myśl twoja wybiegnie daleko po za szarą linię codziennego życia, nie czujesz jak gdyby skrzydła twoje przybite były gwoźdźmi do miejsca, w którym żona i dziecko zostało?

HERSZ. Nie myślę o tem, robi mi się zimno na plecach (*mówiąc to, robi nerwowo ruch odpowiedni*), boję się wspominać.

SAT. Ja widzisz sam o mało w podobnych warunkach się nie znalazłem. Szczęśliwe okoliczności wyrzuciły mię z miejsca, w którym miałem być małżeństwem skuty. I teraz dopiero, kiedy miłość w sobie zdusiłem, teraz dopiero widzę, jak miłość ku jednostce zasła-

nia artyście świat cały, jak do ziemi przykuwa, jak go druzgoce!  
O ja cię rozumię, ja wiem, że między moją wolnością, a twoją jest różnica!...

HERSZ. Ale co ona biedna kobieta winna, co? Ją matka do ślubu zmusiła, mnie także.

SAT. Uciec z domu nie mogłeś?

HERSZ. Łatwo to mówić. Nocą chciałem wyjechać, ale matka zamiar wykryła. Wreszcie płakała, prosiła, że...

SAT. Słuchaj, a może jest to kobieta postępową, kobietą mającą „coś“, co pozycie artysty z nią czyni możliwe?

HERSZ. O nie, ona mnie nigdy nie rozumiała i nie zrozumie.

SAT. To smutne. A ładna choć?

HERSZ. Brzydka, bardzo brzydka.

SAT. Więc pocóż, do pioruna, żeniłeś się, czyżes ją kochał?

HERSZ. Do dnia ślubu niewidzieliśmy się nigdy.

SET. (*z ironią*) Ha! ha! ha! Więc padłeś ofiarą waszej religijnej tradycyi, która z wyznawców swoich ludzi uczynić niezdolną, czemuż więc zwierzętami wam być zabrania?!

HERSZ. (*urażony*) Dajcie pokój, dajcie pokój...

SAT. No bo patrz że, co owe tradycje wasze dają wam. Do 22 roku życia trzymają cię zamkniętego w ciasnym kole rabinów, każą studyować talmud, nie dają się uczyć po polsku, bo nasza literatura zgorszyła by cię, w 18 roku życia żenią z zaśnieżoną żydówką, której przedtem niewidziałeś nigdy!

HERSZ. (*z rozżaleniem*). No, co ja zrobię, co ja zrobię? Rozwód wziąć mogę, ale czy to mnie uspokoi? czy to da mi swobodę? czy ludzkie łzy dają kiedy swobodę?...

SAT. Tak, to prawda. Ale ty przecież innego wyjścia już nie masz. Padłeś ofiarą religijnej ciemnoty i skoro już zdajesz sobie z tego sprawę, rwij kajdany! Zdaje mi się, że ci to wolno?

HERSZ. (*z głębokiem uczuciem*). Ja kocham dziecko moje, ja dla jego matki mam litość ogromną!



SAT. *(po pauzie, wolno, ze smutkiem)*. Jakie krzywdy, jakie krzywdy wyrządza nam życie, wytrącając ludzi z ich naturalnego łożyska... Obdarzonym zdolnościami przystosowywania się do warunków, po walce usilnej, udaje się niekiedy wrócić z powrotem tam, z kąd ich życie brutalnie wytrąciło, ale iluż to zginie w odmętach, ilu zginie... *(Słysząc pukanie do drzwi)*.

SAT. Proszę.

*(Nikt nie wchodzi)*.

SAT. Proszę!

*(Nikt nie wchodzi. Satyrski idzie i sam drzwi otwiera. W drzwiach staje człowiek bardzo lichy odziany, twarz wynędzniała, oczy błędne, całe zachowanie się bardzo niezwykle)*.

SAT. *(z niepokojem)*. Proszę pana, proszę dalej. Czego sobie pan w tej porze od nas życzy?

PRZYBYŁY. Nic proszę panów, nic. *(Rozgląda się po sali)*.

SAT. *(z wzrastającym niepokojem)*. Jakto nic, czego pan chcesz od nas? Kto pan jesteś?

PRZYBYŁY. *(głosem przytłumionym)*. Rzeźbiarz, proszę panów, jestem rzeźbiarzem.

SAT. Rzeźbiarzem?!

PRZYBYŁY. Ajakże.

SAT. Jak godność pana jeśli zapytać wolno?

PRZYBYŁY. Adrian Chmieliński proszę panów, Adrian Chmieliński.

SAT. *(jakby przypomniał coś)*. Aha! *(z niedowierzaniem)* Czy być może? Więc to pan przed kilku laty byłeś uczniem naszej Akademii?

CHMIEL. Podobno... podobno...

SAT. Proszę, niech pan siada? *(sadza go na podium)*.

*(Do siebie)*. Co to jest, co się z tym człowiekiem stało?

*(Do Herszmana)*. Wiesz, to był kiedyś ogromnie zdolny człowiek.

HERSZ. *(cicho z przerażeniem)*. Czy on cierpi na pomieszenie, czy pijany?

SAT. Ale gdzie tam, chory biedak, chory.

HERSZ. Słyszałeś co o nim?

SAT. *(do Chmielińskiego)*. Proszę niech pan wesprze głowę o tę paczkę. *(do Herszmana)*. Tak, słyszałem. Był to kiedyś u nas jeden z najzdolniejszych rzeźbiarzy. Mówiono, że zaczynał jak Michał Anioł. Ogromny temperament. Rzeźbiarz-poeta...

*(Do Chmielińskiego)*. Co też pana do nas sprowadza?

CHMIEL. Nic, proszę panów, nic; stęskniłem się za budą i tyle. Jutro zapisuję się na rzeźbę i będę robił, ale... inaczej. Przenocujcie mnie tu, panowie, przenocujcie.

SAT. *(do Herszmana głosem przyciszonym)*. Dziwak ogromny, opowiadają, całymi nocami chodził po wałach, włóczył się za miastem. Zawsze biedny, skromny, szlachetny. Z zasady nie stawał podobno nigdy do konkursów. Robił, ale nie na popis.

*(Do Chmielińskiego)*. Więc pan tu myśli przenocować na kursie? Drogi panie, to nie sposób, gdy się ktoś dowie...

CHMIEL. *(nagle, tajemniczo)*. Ci...i...i... Nic, panie, nic. Nikt nie wiedział, że tu pracowałem trzy lata, nikt się nie dowie, że jedną noc tu prześpię.

SAT. *(do Herszmana)*. Co z tym człowiekiem zrobić, gdybym miał miejsce, przenocowałbym go u siebie, u ciebie też ciasno.

HERSZ. No, co to szkodzi, położymy go tu na bluzach, na starych szmatach, zamkniemy drzwi i jutro z samego rana wypuścimy.

SAT. Prawda, puścić go na ulicę o tej porze nie możemy. Czekażcie, posadzka zimna, pościelemy mu na podjum.

*(Wyciągają z kątów stare szmaty, zdejmują z kołków bluzy, ścielą postanie, kładą go, gaszą świecę i wychodzą. Za drzwiami zgrzyt klucza)*.

*Po dłuższej pauzie Chmieliński zwleka się z postania. Powolnym krokiem podchodzi ku oświetlonej blaskiem księżycy kawalecie... od-*



*krywa figurę ze szmaty i ogląda... Potem przechadza się zwolna po pracowni, mówiąc coś niezrozumiale. Wreszcie wraca ku podjum i kładzie się na postaniu.*

*Po dłuższej chwili zrywa się z ogromną gwałtownością).*

CHMIEL. Zrywać, psiakrew, te kajdany, bić w pysk skrzydłem po bez-  
duchu!!!... (z wyciągniętymi wysoko rękami pada omdlały na  
postanie).

*Po ostatnich słowach, opadają mokre szmaty, okrywające postacie  
porozstawianych figur. Postacie zsuwają się zwolna ze swoich miejsc  
i ująwszy za ręce zataczają koło, opasując nim leżącego pośrodku  
artystę.*

*Wśród szmeru wirującego w koło wienca postaci ledwo dosłyszeć  
się dają ciche słowa:*

Kto z nami raz do ucztę siadł,  
Kto ducha wzbił pod nieba strop,  
Ten siebie zdał na męki, głód,  
Na piekło żądz, na ból, na ból...

WŁADYSŁAW RABSKI.

W PAMIĘTNIKU MŁODYCH KRYTYKÓW.

(Trzy aforyzmy).

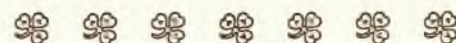
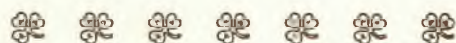
Lessing napisał dla krytyków taką receptę: „Z podziwem wątpicie,  
z wątpieniem podziwajcie“. Hasłem krytyki współczesnej, zarażonej  
duchem sekciarstwa jest: „Bez wątpienia podziwiać, bez podziwu  
wątpić“.

\* \* \*

Brutalną może być nagana, lecz równie brutalną może być pochwała.

\* \* \*

Silna indywidualność jest nieodzownym warunkiem geniuszu, lecz  
nie jest samym geniuszem.



JÓZEF HERBACZEWSKI.

MODLITWA NĘDZARZA.

(Fragment z poematu „Żyd wieczny tułacz”).

I.

O Panie! Ojczy Miłości! Boże! Boże! Boże!  
Wzywam Imienia Twego, ogarniony mocą zgrozy.  
I wzywam jako ptaszę, przykute do miejsca zagłady zdradliwym  
wejrzeniem gada.

I wzywam jako robaczek, którego los spoczął w niebacznym stą-  
paniu przechodnia.

I wzywam jako liść drzewa owocowego, daremnie błagający wichry  
jesienne o litość, o miłosierdzie.

I wzywam jako jęk samobójcy, błądzący na czarnym cmentarzu  
zapomnienia.

I wzywam jako echo skargi, wołającej o sąd prawy nad czyniącymi  
gwałt.

I wzywam jako westchnienie bólu, zdobiące oblicze Jesieni łzawą  
pajęczyną.

I wzywam jako rosa poranna, strąsana z drzew powiewem modli-  
twy wisielca.

I wzywam jako oderwany dźwięk psalmu, zatopiony w łzawicy  
tęsknoty.

O Boże! Boże! Boże!

Miłosierdzia! Przebaczenia!

I nie ja wołam, o Panie: jeno ten, który we mnie jest.

I nie głos wiadomości mojej wzywa Imienia Twego, o Panie: jeno  
głos niewiadomości mojej.

Albowiem wiadomość moja rodzi bezmyśl plugawą: a niewiado-  
mość wszelka czyni leonidową tęczę przymierza.

I nie ja wołam, o Panie; jeno nędza żywota mego.

O Boże! Boże! Boże!

Nie znam Ciebie, o Panie: jeno czuję, że jesteś.

I nie wiem nic o Tobie: jeno czuję, że Cień Cienia Twego mie-  
szka w niewiadomości mojej.

Nie widzę Ciebie, o Panie, nigdzie: jeno wszędzie, gdzie spocznie  
oko moje tułacze, czuję wonne ślady Miłości Twojej.

Nie myślę o Tobie, Panie: a jednak bezmyśl moja głosi obecność Twoją.

I wiem, iżem owoc tchnienia miłowania Twego.

I wierzę nie chcąc wierzyć, iżes Ty, o Panie, wyrzeźbił duszę moją  
Myślą Twoją.

I niewiadomie wiem, o Panie, iżem zbłąkany wędrowiec na drodze  
mlecznej.

O Boże! Boże! Boże!

Podniosłem oczy do góry: i ujrzałem nieprawości moje, wypisane  
krwią na obliczu Nocy.

I ujrzałem owoce myśli mojej plugawej, zawieszane na żyłach nie-  
mowląt, wołających o pomstę.

I ujrzałem oblicze moje, ozdobione plamą Kaina...

I grobowa trwoga mrozi wnętrze moje.

I zimny strach przylgnął do modlitwy tęsknoty mojej.

O Panie! O Boże! O Stwórcu!

Litości! Miłosierdzia! Przebaczenia!

Zda się jestem próchniejącym drzewem.

I łkam zwiędłymi myślami żywota mego: i ścielę sobie łoże w do-  
linie wzgardy mrocznej.

Wyschły źródła wnętrza mego: a w sercu mojem drżącym zamie-  
szkało głodne robactwo, plemię Pomsty.

Skonała modlitwa moja w objęciach chmury; i młodość moja zwię-  
dła: i wyschła i załamała, jako gałąź drzewa opuszczonego.

Ciało moje pokryło się mchem zapomnienia: i pleśń wzgardy ozdo-  
biła czoło moje.



ALEKSANDER MANN.



W oczodołach moich uwiły sobie gniazda kruki i sępy: i płoszę wejrzeniem upiora jaskółkę nadziei i skowronka pociechy rzewnej.

Stopy moje obrosły grzybami trującymi: i gad zdrady czai się w próchniejącej kości mojej.

I stoję i czekam: izali przyjdzie Wiosna żywota mego.

I stoję i czekam: a kościotrupy urągają mi słowem wzgardy.

I stoję i czekam: i przędę z westchnień moich kir żałoby.

A stojąc daremnie czekam: zwiastuny zgonu śpiewają kołysankę nad uchem czuwania mego.

I słyszę już znowę ogrodników: którzy ostrzą siekiery śmierci.

I płakać chcę i jęczeć: i płoszę ród kruczy i sępi z gniazd oczodołów moich.

Zakrakały kruki złowieszczym hymnem: i gad zdrady wypił westchnienie moje i pożarł skowronka modlitwy mojej...

## II.

O Boże! Boże! Boże!

Wzywam Imienia Twego, ogarniony mocą zgrozy.

I nie ja wzywam, o Panie: jeno echo przykazania Twego, które we mnie żywie.

I wzywam jako dym kadzidlany, adorujący Ołtarz Przebłagania.

I wzywam jako pszczołka, otoczona szerszeni rojem.

I wzywam jako ruczaj, zatamowany w biegu wałem trupów.

I wzywam jako trawka, podeptana stopami żołdactwa.

O Boże! Boże!

Wzywam Imienia Twego, ogarniony mocą zgrozy.

I nie ja wzywam, o Panie, jeno ten, który żywie w niewiadomości wszelkiej.

Izali wzgardzisz, o Panie, głosem ocknienia?

Izali nie nakłonisz ucha Twego na głos błagania mego: i nie przebacysz mi wejrzeniem Miłości Twojej?

Izali uczynisz krzywdę dziełu rąk Twoich: i rozprószyś tęczę przyrzeczenia Twego?

Izali będziesz walczył z nieprawością minionych dni żywota mego: i będziesz zważał na bezmyśl moją, jako wroga Twego?

O Panie! Zgrzeszyłem obłudem pragnienia mego przeciwko Tobie: zbyt wiele żądając od żywota mego.

O Panie! Zniesławiłem Imię Twoje szalem bezmyśli: żądając, iżby Pan był sługą sługi swego.

O Panie! Zgrzeszyłem: lecz pokuta wnętrza mego łaknie miłosierdzia.

Zgrzeszyłem: albowiem ślepy jestem, i głuchy, i mroczny i wzgardy pełny.

Wystawiłeś mnie, o Panie, na pokuszenie: uległem bom słaby i gnusnego serca.

Opasałeś mnie mrokiem niewiadomości: łaknąłem poznania i bluźniłem Tobie, bom ślepy i głuchy i nienawiści pełen.

Powierzyłeś mnie opiece nędzy: i przeklinałem żywot mój i żywitem nienawiść do świata, żądny zagłady: bom niewolnik i więzień.

I nie ja przeklinałem siebie i świat cały i Ciebie, o Panie: jeno o pomstę wołający głos nędzy mojej, głos głodu, wołający o chleb powszedni.

Odebrałeś mi chleb mój doczesny i posiałeś gorczycę w sercu mojem: złorzeczyłem Tobie i groziłem bliźnim pomstą: bom głodny prawdy i sprawiedliwości.

Uczyłeś mnie miłości usty kapłanów Twoich: a dozwoliłeś, iżby pasterze i bliźni nienawidzili mnie; wzgardziłem Słowem Twojem, bom głupi i zaślepiony syn niedoli.

Kazałeś mi szukać prawdy i sprawiedliwości, a karmiłeś mnie wzgardą, nienawiścią i niesprawiedliwością: czułem gwałt i wyrzekałem się Ciebie, bom zrodzon w pysze grzechu.

Oddałeś mię na pastwę zwierząt drapieżnych i przykazałeś miłować katów żywota mego: zapalałem ogniem gniewu i uzbroiłem prawicę moją przeciwko wrogom: bom niewolnik żywota prawa.



Oto są nieprawości moje: sądz mnie, o Panie, miłosierdzia okiem.

O Panie! Panie!

Zgrzeszyłem, albowiem niewiadomie pragnąłem cierpieć.

A pragnąc cierpieć, niewiadomie czyniłem sąd nad nieprawością moją: iżby się stało zadość przykazaniom Twoim.

Iżbym poznał oblicze Twoje: oczyszczony w łzawnicy bólu.

Iżbym poznał Miłość: spalony w ogniu pokuty.

O Boże! Boże! Boże!

Sam siebie osądziłem na wędrówkę żywota: iżbym poznał zgrozę odradzania się pośród trupów.

I przejęty zgrozą Karmy, wołam do Ciebie, o Panie: uczyni żywot mój Nirwaną!

O Panie, uczyni żywot mój Nirwaną: która jest przedsionkiem przybytku Twego.

O Panie! Izali chcesz obalić próchniejące drzewo rażeniem kary: i z prochów spopielonych tworzyć ponowny żywot jęku?

Izali Ty, o Panie, wiecznie jesteś głodny plugawego żywota jęku: iżże popioły niepokoisz tworzenia tchnieniem?

Izali Ty masz oczy kruka i pożądanie tygrysa: iżże wiecznie łakniesz ofiarnej krwi nędzy żywota mego?

Izali nie przygarniesz modlitwy mojej i nie posiejesz łez moich na pustyni wzgardy?

I nie uczynisz żywota mego Nirwaną?

Do Ciebie wołam, o Panie: miej litość na nędzę moją!

I wołam jako wysychający kwiatek o kropelkę wody żywej.

I wołam jako niedojrzały kłos o promyczek Słońca.

I wołam jako echo fujarki pastusiej, ścigające Ciszę wiekiustą.

I wołam i łkam jako wicher, ścigający uśmiech mogiły.

Daremnie wzywam.

Milczenie Twoje, o Panie, jest grzmotem Gniewu: a Obojętność Twoja jest zagładą żywota mego przez tworzenie.

I chcę przeklinać Ciebie, o Panie, jękiem bezmyśli mojej: lecz oto dławię się słowem niemocy mojej...

I żywię nadzieją, że żyć nie będę: w nieskończoności uśmiechu.

I żywię złudą, że żywot mój jest tylko snem.

### III.

O Panie! Nie każ mi miłować bliźniego, jako siebie samego: albowiem nienawidzę żywota mego.

O Panie! Nie każ mi mówić czynem: albowiem pałam ogniem pomsty.

O Panie! Nie każ mi być drogowskazem żywota: albowiem próchnem jestem.

O Panie! Nie każ mi być pochodnią wśród mroków: albowiem wejrzeniem wzniecam pożary niszczenia.

O Panie! Nie każ mi być kapłanem słowa: albowiem mowa moja jest jako deszcz kamienny.

O Panie! Nie każ mi pożądać sławy: która jest krzyżowaniem żywota na kościotrupach głupców: albowiem miłuję uśmiech Śmierci.

O Panie! Nie każ mi budzić mocy utajonej: albowiem Demon drzemie w puszczy żywota mego.

O Panie! Nie każ mi być wielkim wśród małych i mądrym wśród głupich: albowiem zadławię się nicością moją i będę pośmiewiskiem wieków.

O Panie! Panie! Panie!

Każ mi być dziecięciem, złożonem w żłobku.

I kwiatkiem, zdobiącym mogiłę sieroty.

I łzą, spływającą po twarzy zebraka.

I rosą, która napawa spragnioną trawkę.

I gałązką oliwną w dziobku ptaszyny.

I mewą polarną, kołyszającą się na fali ukojenia.

I chmurką, płynącą w wieczność.

I promykiem słońka, zagładającym do więzienia.





Tylko strzeż mnie, iżbym nie miłował ludzi nienawiścią wnętrza mego.

Strzeż mnie, iżbym nie służył światu mieczem pomsty.

Strzeż mnie, iżbym nie był użytecznym pokarmem społeczności: trucizną jestem.

Strzeż mnie, iżbym nie okłamywał ludzi trupim uśmiechem lic moich.

Strzeż mnie, iżbym nie dźwigał sławy na pohańbienie świata.

Strzeż mnie, iżbym nie wzniecał pożarów w krainie snu.

Strzeż mnie, iżbym nie budził demonów słowem mowy mojej.

Strzeż mnie, iżbym nie kamienował głosem obłędu braci mojej.

Strzeż mnie, iżbym nie wchodził do domu modlitwy jako gość nieproszony i straszny.

Strzeż mnie, o Panie, iżbym nie służył użytecznie ludzkości!!

Albowiem miłowanie moje katem jest.

Albowiem pałam pomstą: a nienawiść wnętrza mego łaknie stawy.

Albowiem łaknę krwi bratniej: i pożądam zagłady żywota.

O Panie! Panie! Panie!

Uczyni żywot mój tułaczy Ciszą wiekuistą!

Niech łaknienie żywota mego, które Wołą jest, spocznie w ziemi jako Niewola wiekuista: i będzie stawą głodnych robaczków.

Niech myśli moje będą jako śnieg: i przykryją mogiłę żywota białym całunem.

Niech jęk mój będzie jako głos sygnaturki: błogosławiący umarłym pośród żywych.

Niech boleść moja będzie jako mgła, zasłaniająca promienny uśmiech Wschodu.

Niech słowa modlitwy mojej będą jako liście zwiędłe: i przykryją ślady stóp moich kirem lęku.

Niech ostatnie tchnienie moje będzie jako chmura łkająca: i niech wichry rozprószą ostatki popiołów bytu mojego.

Niech miłość moja będzie jako upiór: zaglądnący do wnętrza pałaców w noc zimową.

Niech skarga moja niewyplakana jęczy i zawodzi pod oknami władców: i płoszy Wiosnę żywota.

O Panie! Uczyni żywot mój tułaczy Ciszą wiekuistą.

Niech grobowa Cisza spocznie w miejscu, gdzie pokutował jęk wnętrza mego.

Niech chmura wypłacze te wszystkie błagania i modły moje, które zdradliwie kradła.

I niech będzie Cisza wiekuista imieniem mojem.

I niech Cisza wyśpiewa hymn żywota mego.

Ja milczę... milczę...



J. PRZEC.....

DE PROFUNDIS.

Przed nami zmierzcha droga.  
Na skalnej wyżynie  
Bieleje znak.  
Za późno! ominiem te brzegi.  
Trącona w odmęt łódka w ciszę nie wypłynie,  
Choć żagiel zwisa smętny...  
Nie dla nas noclegi!

W burze, gromy i wydmy!  
W ster fala uderza  
Groźna, purpurą słońca cała zczerwieniona:  
Kłębi się mętną pianą i w sine wybrzeża  
Spycha nikły jęk żalów co w odmęcie kona.

Żale... i poco żale?...  
W odrodzeń godzinie  
Myśl biegnie w prawdy czucie mocna i szczęśliwa.

Poco żale? gdy w głębi złożony spoczywa  
Skarb, co potęg konieczność w świat jaśni wypiera,  
Choć grozą ciemne duchy, choć potok się spiera  
A fale kruszą statek...  
Zwycięski wypłynie.

Wionęły już skrzydła mew, białe...  
Z fal bicia  
Sen jasny się wysnuł w kołysań pogodę.  
I rosną w nas skrzydła unosząc w swobodę,

Do życia!.. do życia!.. do życia!..  
Po skrzydłach nam sływa kryształno-przejrzysta  
Wód rosa przezczysta.  
Przed nami się słońce rozprysło szeroko  
Ku słońcu tkwi oko!..  
Na ciepło, na jaśnie rozwarte powieki  
Skrzy sypią się w łona...  
Przyjmujemy je wszystkie...  
A prawda nie skona  
Na wieki...

I płyną pieśni słodkie, pieśni zorzy,  
Gdy wnika w cienie zadumanych borów,  
Pieśń zorzy w blaskach i cichych wieczorów  
Śniących o jutrzni co jutra dzień stworzy.

Zagrały fujarki tęsknoty prostacze.  
Kwiat się podnosi pod wichury drzeniem:  
Gdy zmierzchy już idą błękitniąc się smugą  
Mgieł cichych, posępnych, niknących gdzieś długo...  
W zamrokach, gdzie bieli się znak u wybrzeży.  
Szmer ztamtąd przyżywa... szmer smętnych pacierzy  
I łkania jęk głuchy...  
Na łące  
Kwiat płacze  
W woń rosną ujęty.

Kwiat śnieżny... gdy burza przez orkan pędzona  
Trącała jedwabnych mchów strąki,  
On w listków się swoich nie chylił ramiona  
By ciaśniej otulać swe pąki!...



PORTRET.

HENRYK HOCHMAN.



GŁÓD.

HENRYK HOCHMAN.





Stęskniony w słoneczne zatopił się lśnienia  
 I dłoń go dosięgła zniszczenia.  
 . . . . .

Wydając swe wonie duszące  
 Umiera na łące  
 Kwiat ścięty.

Krzyk z głębi...  
 To serce, tam z cierni wyjęte  
 To serce tak płacze!  
 Na wolę puszczone, gdzie z wichry obcemi  
 Moc życia się zмага... i skrzydły orlemi  
 O słońce potrąca już z blizka.  
 . . . . .

To serce zajękło... to ciche i święte,  
 Że w dali zmierzchają ogniska,  
 Że siły ustają gdy piorun uderza!  
 Że smukły kwiat złoty  
 Omdlewa od żarów słonecznej pieśczozy...  
 Kwiat śnieżny, zrodzony wśród pleśni  
 Mchów wilgłych wybrzeża!...  
 Że postać ta droga gdzieś w cieniu się ślania  
 A znak się o fale rozpryska...  
 To serce zajękło... Wyrosłe z kochania  
 Ku brzegom rwie, w cisze...  
 Samotne, tułacze,  
 Z przywiązań utkane i z pieśni.  
 . . . . .  
 . . . . .

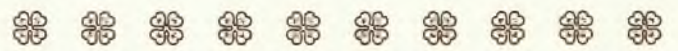
Więc wstrzymać łódź bystrą pędzącą na wiry,  
 Utonąć w ufności dziecięcej,  
 Wzrok mętny od blasków zanurzyć w szafiry

Nic więcej nie pragnąć, nie więcej?...  
 Więc czekać?.. a może na ziemskich zamgleniach  
 Roztoczą się jasne widziadła  
 I nieba przejrzystą rozedrą zasłonę  
 I Boga ukazać w płomieniach!...  
 . . . . .

Napróżno! nie wyjdą złocone  
 Ze zwycięstw palmami.  
 Przed prawdą my sami  
 I twarz nam pobladła!...  
 Hej! dalej w orkany co duszę wypręża  
 I w stale zakuwa!

Nie pieścić nam ucha  
 Fantazyi grą senną!.. duch czuje, myśl słucha...  
 Gdy serce się zgina, niemocne, wytęża.  
 My ciernie stłoczemy, gdy ciernie moc paczą,  
 I pójdziem, pędzeni pragnienia rozpaczą  
 Na święto bezkresów dla ducha.  
 . . . . .

I nie giąć się marnie!.. rozterka wzrok cieni,  
 Gdy jazdą zagrzani sokolną  
 My duszą wołamy, wyrosłą z płomieni!...  
 A duszy zastygać nie wolno!...





KAZIMIERZ TETMAJER.

## DZIKI JUHAS.

(Z książki: „Na Skalnem Podhalu“).

Był jeden taki juhas z Jurgowa, strasznie dziki, a nazywał się Bronisław Luptowski — uhlarz, czyli węglarz, bo taki czarny był na twarzy, jakby z węglami w lesie robił, tylko mu niebieskie ogromne oczy z pod rzęs świeciły na białkach. O nim opowiadali, że kiedy na kogo spojrzął, choćby jaki śmiały chłop był, nie dotrzymał i cofnął się. Psy owczarki, człeku po pas, które do wilka same skakały, a i ku niedźwiedziowi, jak ich było przy szałasach trzy, cztery w kupie, szły: tylko się przed tym Luptowskim kurczyły pod siebie, a z daleka warczały, kiedy na jaką obcą polanę zaszedł. Się też miał taką, że dwie podkowy naraz łamał, jak pręt z osiki, a kiedy go zamknęli w areszcie w Nowym Targu — właśnie w kierpce orawskie z obcasami obuty był — tak się bawił, że skakał na piec, co tam był niski, a z pieca na podłogę i za każdym razem obcasy po same pięty w podłogę wbił. To tak dziurawił ten areszt, że się wszyscy stróżowie, komisarze i sami sędziowie zeszedli i dziwowali, a ten najgłówniejszy sędzia nie mógł wytrzymać i dał mu papierka za tę sztukę, choć szkody narobił. Tak docyfrował podłogę, co cud!

A zły był taki, że o bądź co kogo prask w pysk, albo kopnął. To się ten też nim obejrzał, to już do góry nogami świat zobaczył. A zaś kiedy go chuć taka dopadła, to odbiegł wszystko i zatracił się gdzieś w lasach, że ani słychu widu o nim. Co robił: nie wiadomo. Czy po zbóju chodził, czy gdzie tak się tylko błąkał: nie wiedzieli ludzie. Jeżeli po zbóju chodził, to sam, bo się z nikim nie stowarzyszał. Ale on też ta za kierdelik zbójników starczył.

— Hej! Kieby Janosik jesse żył — mawiał czasem — poprógowali by my się, wtory by był za hetmana? Bo z wami dziadami coż ja bedem robił? Héba byk wami w stodole młócił?

Ale to się mu tak gadało, bo każdy wie, że nad Janosika nie było chłopca i że on turnie plecami dźwigał, a kiedy skoczył, wierchowiec jodle urąbał ciupagą, a drugiej odstrzelił z pistoletu, czego ten juhas dokazać by nie potrafił. Ale żeby się był ku Janosikowi na drugiego zdał: to pewna.

W zimie on w domu u ojców robił, bo bardzo robotny był, a w lecie juhasił w górach, w Jaworowych sadach. A choć czasem owce odleciał i gdzieś się tłókł po Tatrach, rad go baca Ustupski widział, bo juhas to był, kiedy się wziął paść, że szeroko po świetcie szukać. Owce się przy nim tak upały, jak ulęgałki. Niedźwiedź się też nie miał co bardzo ku nim ze Szerokiej Jaworzyńskiej z kosówek podkraść, bo on czujny był, jak pies, a już dwa sprzątnął. Nie flintą, ani w oklepce, broń Boże: jednego kamieniem ogłuszył i rękami udusił, drugiego widłami żelaznymi przebił.

Nie było już później takich mocarnych ludzi.

Byliby go ludzie lubili, bo był świecny chłop, przystojny i zgrabny, i przemowę miał miłą i do rzeczy, ale to mu chybiało, że strasznie gwałtowny był i że go coś roznosiło od serca. To się mu też uchylali i nazywali dzikim juhasem. Zabił on już w bitkach troje ludzi, ale się ta o to wtedy nikt bardzo nie starał.

Dziewki go się też bały i uciekały przed nim, ale kiedy którą za rękę ujął, to już była jego.

A tak powiadali o nim, że i oczami tak splątał dziewczęce nogi, że drgnąć nie śmiała, tak właśnie, jak mówią o ptakach i wężu. To też miał on kochanek tyle, ile chciał, bo mu tam i w drogę wchodzić przy nich nikt się nie spieszył, ale sam mawiał o sobie: Jo mom telo freirek, kielo sysek na smreku, ale coby mie kochała wtoro, to nié.

On ich też nie kochał. Dziś był przy tej, jutro przy tamtej, zaś się wrócił, zaś nową, znalazł. Co chciał to miał.

I co się nie zrobiło, zakochał się ten juhas w dziewczę, co pasła krowy pod Muraniem. Co się mu stało, nikt nie mógł wyrozumieć. Ale się tak odmienił, jakoby mu kto duszę wyjął i inną włożył. Co



by mu się pierwszej oczy były zaiskrzyły, a zęby zaświeciły we wargach, to sie teraz tylko uśmiechnął i odwrócił, albo poszedł dalej. Owce wyganiał w tamtą stronę, ku Muraniu, a choć na cudzem pasł, nikt mu się tam nie sprzeciwiał, bo nikt nie wiedział, czy się to uśmiechanie może nie skończyło, albo nie skończy do razu? Pasł, gdzie chciał. Wyganiał owce w Murań, a juhasom tamtejszym mówił;

— Idźcie paść w Syrokom Jaworzyńskom.

— Kie sie boimy wasego bacy.

A on się uśmiechnął:

— E, juzek go pytał, coby wam niebronil.

To śmiało szli, bo już wiedzieli, że ani papier z urzędu tyle nie wart, co ta prośba.

I tak nie było krzywdy, ani niezgody.

A ona dziewczka pochodziła ze Zdziaru, gdzie sławne są z urody kobiety. Nazywała się Agnieszka Hawrańcówna, i nie uwierzyłby nikt, tak się na tego Bronisława Luptowskiego patrzyła, jak na pniak. Nie mógł sobie z nią nijakim światem rady dać.

— Jagniś — mówił jej — nie bedzies mię lubiła?

A ona mu mówi:

— Nie.

— Bez coż tak?

— Bo mi się nie widzisz.

A on tak do niej mówił, jak do obrazu świętego, a ona do niego, jak do psa. I cóż mu tam było po tej sile i po tej tęgości?!

Inną to byłby za rękę ścisnął, ażby jej pręgi czerwone poza pięść wyszły — i tuś! A tu to się tylko patrzył, jak do nieba, a matka tak mało kiedy do dziecka się ładnie odezwie, jak on do tej Agnieszki. I gdy wtedy ludzie widzieli, że tyle zmiękł, to, żeby się go nie bali z pamięci i żeby nie to, że nie wiedzieli, czy to tego długo będzie, toby był który niektóry wnet mu pięścią między oczy za co dawniejszego zapłacił.

Dośmielała z nim ta dziewczka w straszny sposób. Nie na szopę wie-

czorem, ale go w dzień do szałasu puścić nie chciała, choć ludzie byli, a kiedy wlaź, jak jej nie było, wyganiała go potem w pole:

— Ce tu fces?! Tyś niepili! Idź ku swoim! Co tu mos do roboty pomiędzy nos? Wynoś się? Ty dyable!

A on nic, tylko na nią spojrzął tak, jakby pacierz mówił, wstał i do pola szedł. Ludzie mówili: dobrze mu tak, ale niejednej dziewczynie go tak żal było, żeby go była rada przytuliła ku sobie. On jednak już niewidział żadnej, tylko tę Agnieszkę Hawrańcównę ze Zdziaru.

I tak się stało, że się zeszedli raz ku wieczorowi w upłazie pod Muraniem, ona z krowami poniżej, on z owcami powyżej. Przyszedł ku niej, pyta się:

— Dos mi sięść przy sobie?

— Teloż byk cie nie widziała.

— To mię juz tak ciępieć nie mozes?

— Niémogem

— Ale bez co przecie? Dy tu jakasi przycyna musi być!

— Jest.

— Jakoz?

— Bok ślubowała Jędrzkowi Hawrańcowi, co przy kirysyerak służy. Dopiero jak on się porwie, jak krzyknie:

— To bez to ino! Hej, a jo myśloł, ze wto wie co!

I złapał ją na ręce, tak jak jagnię, i niesie w górę ku owcom, w turnie. Ona czy oniemiała ze strachu, czy taka cięta była, ani nie krzyknęła; nie było też ta poco krzyczeć, bo ktoby tam był za nim szedł...

Wyniósł ją na płasienkę ku owcom, położył na ziemi, klęknął nad nią, powiada:

— Mojaś!

— Nie twojak!

— Tu cię zrucem z tej turnie w przepaść!

— Nie zrucis!

— Nie? Wto cię obroni?



- Ty som!
- Jo som?!
- Twoja miłość!

I dopiero wtedy stało się, czego nigdy przenigdy nie widywali ludzie na świecie. Puścił ją; kiedy skoczy, kiedy chwyci owcę najbliższą — cisnął w dół! Latał po upłazie, wyżej trzydziestu owiec, co je wygnał, zepnął na kupę tak, jako z dwóch pięter. Zrobił się wał z tych pobitych owiec. Takі wściekły był.

Ona się tymczasem zerwała z ziemi i uciekła do szałasów.

Kiedy już z temi owcami skończył, musiał zesłać, bo legł pierściami do góry i już noc nadchodziła, a jego jeszcze tam znać było, jak się czernił na trawie do miesiąca. Nie wiedzieli ludzie, czy omgłał, czy co, ale się bali iść ku niemu zaglądać.

Do rana też nie było z niego szlaku znaku i nigdy on już więcej pod Murań nie przyszedł.

Myśleli zrazu i w Jaworowych sadach i tam, że się może do wojska dał, bo właśnie przyjechali do Lewoczy rajtarzy cesarscy z werbunkiem, ale to się nie stało tak.

W nocy on się dźwignął z tego leżenia i przykradł się ku szopie Agnieszczynej, co na kraju pod pagórką stała; psy nie szczekały, bo go znały dobrze. Ujmie z pagórka w ręce kamień; coby go i trzech chłopów ledwie podjęło, wznosił nad głowę — wiedział, w której stronie Agnieszka sypia — tu! tu! byłby dach zgniótł i ją zabił. Zamierzył się raz — spuścił ręce; zamierzył się drugi raz — to samo; za trzecim razem cisnął kamień w bajorko. I tylko sobie powiedział; Ej Jagniś! Jagniś!...

Taki chłop! Byłby przecie wszystkie szopy mógł rozmieść ze wszystkimi juhasami w nich!

I tak jakby się sam siebie bał, skoczył w las. Z lasu w kosodrzewinę, w upłazy, przeleciał przełęcz Jaworzyńską, skiełznął na dół, w ten bór stary, co w tedy popod Rówienki rósł. Tam smreki bywały grube, jak filary w kościele, a konarami obite do ziemi, że mało z pod

nich do nieba było widno. Paproci, wszelijakiego ziela, szczawiów, łopuchów, traw: wyżej kolan. Gąszcz straszny. Pnie z pniów rosna, noga kłęśnie w próchnie, tramy, kłody, bale nawalone pomiędzy głazy jedno na drugie, a wszędzie mech zielony, zawilgły i mchy wiszą z konarów, siwozielone, długie, jak brody. A między drzewami żółte, wysokie kwiaty rosna — to się czasem tak zaświeci z za gałęzi, żebyś rzekł, złęgo co patrzy na cię, aż się wzdrygniesz. I cicho tak, jak wiatru niema, że ani szmeru. Wody nawet w potoku nie słyhać z dołu. Głuchy bór, jak trup.

Tam on się zatrzymał, ten juhas Luptowski, a jeszcze była tęga noc, bo on ta sporo mógł chodzić.

Obaczył się w tej puszczy i powiada: Hej lesie! lesie! Abo jo, abo ty!

Co mu do myśli przyszło?! Czysto oszalał!

Złapie jeden konar — pociągnie — trzask! ukruszył. Złapie drugi, trzeci, młode smreczki, łamie, targa, z korzeniami rwie. Do starych smreków ze zębami skacze, korę z drzewa wydiera, aż mu krew z pianą z ust bryzga. Huk, trzask, łomot po lesie, że strzelcy, koziarze ze Zakopanego, co tam niedaleko nocowali, myśleli, że się niedźwiedź gdzie pod Żabiem, bo tam radzi Białczanie zastawiali, w oklepiec złapał i ku Rówienkom go przywlekl. A niedźwiedź w oklepcu strasznie las łamie. Ale się bali tam iść że noc.

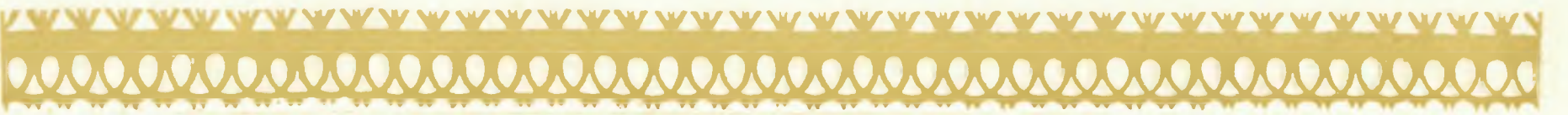
Ku ranu ustało hałasieć.

— Zmordował się biędok — mówią strzelcy — trza ku niemu iść zajrzeć, cyby go jako nie ozpętać, kie mu się tak w tych zelazak cnie...

Idą, stanęli, jak żeby im kto po oczach siarką chlusnął, aż im strzelby zadygotały w rękach, a Tyrale podobno i wypadła.

Tu nagruchotane konarów, drzewek, łom, skręty, zwał, aż się polanka w lesie zrobiła z widokiem; tam, pod smrekiem, człowiek w potarganej koszuli juchaskiej, z poszarpanym pasem, cały we krwi, z polepionymi od niej włosami, podrapany, z dziurami po ciele, jakby go





kto na bronie włóczył. Dobrze się namyślali, co zrobić, czy przystąpić, czy uciekać, tak ich strach zdjął.

— Nic, ino się dyabeł wściók — powiada Capek

— Abo się mocował z jakim duchem i zmóg go — powiada Suleja.

— Ej! — mówi Tyrąła z Kościelisk, bo on ta rad w takie rzeczy wierzył — jo wiem! Cy je pote nie tén, co grzyhy swoje, jako zywe mięso, na ramieniak nosił i zębami targał?

— Abo cosi kogo pobiło? — mówi Capek.

— Abo wto wie, cy pote dyabeł cłka nie udusił ka i haw nie prasnon? — powiada Suleja.

— E! — mówi Tyrąła — Ze cozby haw do rania ś nim po lesie jeździł?! Cy ty myślis, ze to tak, jako w karcymie, kie się dwa weznom wodzić za łby? Zły duk nie potrzebuje, ino cię tknonć! Durknie do tobie palce — toś juz hań!

Ale stary Jędrzej Sieczka, mądry chłop, nie gwarzy nic, tylko patrzy i siepnie się:

— Co ta pleciecie figle! Fafrosy! Jo tego hłopa mom zkądsi znać. Pockojcie no! Słonko prawie zaświeciło jasno, przypotrzem się mu.

Przyjdzie, patrzy, krzyknie:

— E dyć to dziki juhas z Jurgowa! Widziołew go nie roz i nie dwa! Nie tak, ale musioł ogłupieć i nikt tu ta tego montu nie nrobił, ino on som. Zdziurawił se pięknie piersi, syję, gębe, rence na sękak. Taki je jak sito! Ale co się mu stało? Ludzie na świecie!

— Ale ze to był hłop! — mówi Tyrąła, bo się juz dośmielili wszyscy za Sieczką ku niemu podejść.

— Dziki juhas? Luptowski! Jo go znoł! — powiada Suleja. — Ten kieby cię był do garści dopod, tobyś był hnet w powietrzu zębami pięty gonił! Widziołek go na jarmaku w Lewocy, kie se konia na ramionak nosił, jak jorkę.

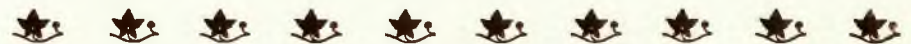
— Hej, spotkołew go i jo kielka razy — mówi Sieczka. — Roz se na śpas koło młyńskie zahamował ręką w Saflarak. My prawie jechali z miasta. Młynorz leci — ki się dyabli zrobiło?! — jaze się prze-

zegnoł, a ten trzymie i śmieje się wereda. Co mi dos? — pado — to ci puscem. Musioł mu dać dwa cwancygiery. Ino ze to nie biédny cłek, ten Kamiński w Saflarak.

— Ojce Siecka, śliście! — odzywa się Suleja. — Mnie się widzi, ze on zywy jesce! Drgo!

Nachylił się Sieczka, a on właśnie, ten juhas, oczy otworzył i szepce: Hej, co mie zmogło? To dwoje: dziewczka i las!...

I umarł.





LEOPOLD STAFF.

PRZESTROGA.

Gdy wieniec jasnych kwiatów kładziesz na swe czoło,  
Wpleć weń zawsze kwiat jeden posępny i ciemny!  
Kwiat szczęścia wita tylko myśl szczęścia wesołą,  
Jasnym myślom da tylko całunek tajemny...

A może pod Twą skronią zbłąkana z daleka  
Myśl ciemna w łzach napróżno pocałunku czeka...  
Wpleć w wieniec swego czoła choć jeden kwiat ciemny,  
W kielich słodkiego wina jedną łzę goryczy —  
Łzę ciemną wmięszaj!.. W szczęścia pieśń choć jedno łkanie!  
Ten sam gościnniec widzi uśmiech tajemniczy  
Dwu rąk, co się znalazły, i widzi rozstanie...  
— Może twa dusza, nucąc pieśń, brzmiając weselnie,  
Przechodzi pod oknami chorego śmiertelnie — —  
Wmięszaj w twą pieśń radosną jedną łzę goryczy!...

CECYLJA WALEWSKA.

PRZYJDŹ!...

Jeżeli umarli mają moc ukazywania się żywym, zobaczy ją dzisiaj...  
przysięgły sobie... trzecia noc po śmierci...

— Przyjdź, ptaku mój!... nie boję się ciebie... byliśmy jednym  
czuciem... przyjdź!... zabrałaś mi połowę duszy: wróc z nią!...

Z otwartymi szeroko oczami, okryta szalem, Marya siedziała na sto-  
pniach werendy, drząc wewnątrz. Szła na nią trwoga, szło kamienne,  
ślepe przerażenie, choć mówiła sobie: „nie boję się!“.

Do rana tak siedzieć będzie i czekać: *ona* przyjdź musi... Serce,  
oderwane od serca, myśl od myśli... Życ bez niej... jak żyć?...  
Znaku chce od niej, ostatniego pożegnania, pocałunku martwych ust...

Umarła prawie nagle: jej, Maryi, nie pękło serce, choć, zdawało  
się, że... dwie... mają tylko jedno!...

— Przyjdź!...

Cichy wiatr niósł od boru zapach żywiczny i odgłos fujarki, i echo  
chłopskich przyspiewek, i szczekanie psów we wsi.

— Z tym wiatrem przyjdź!... dotknij ust moich swymi ustami...  
Byliśmy jednym życiem, a umarła tylko ona...

W rozkołysanym powietrzu szeleściły igły świerków na tarasie,  
odzywała się cichym, rytmicznym pluskiem woda w stawie.

— Z tym słabym szelestem, z tym szumem łagodnym przyjdź do  
mnie!...

Serce jej biło; po krzyżu szła trwoga, a usta wzywały, myśl mó-  
wiła: „nie boję się, nie boję“...

Wtem ucichł wiatr, przygasały szmery. Z za czarnych borów wyjrzał  
księżyc; srebrna jasność połała się z błękitów; w głuchej ekstazie  
stały drzewa, trawy i kwiaty. Nie poruszył się żaden listek, nie za-  
drgały igły świerków, nie zakołysały się senne róże. Kamiennym odrę-  
twieniem pieścił księżyc ziemię. Bez szumu, jak cienie, jak duchy,





powstawały tylko mgły białe nad stawem i tarasem ogrodu, ale i one, raz wszedłszy, zwisały w bezradnej niemocy, czepiając się kiści sitowia, krzewów róż i gałęzi świerków.

Noc, ta jasna noc rozstrzygnie o rzeczywistości lub złudzie obcowania z duchami.

— Przyjdź!... stań przedemną, jak mleczny opar!... Nie boję się... ja... się... ciebie... nie... boję...

W srebrnym blasku spiętrzyła się ściana mgieł nad tarasem; strzępy jej podpełzły do gałęzi świerków i zawisły na nich bez ruchu; inne zasnęły cicho na liściach róży; żadne nie skłębity się w ziemską postać. Nie w złudzie oparów miała ją zobaczyć.

Z powietrza, nieba, ziemi nie schodziło głuche odrętwienie. Marya spojrzała na samotną lipę na skrócie alei: stała w półśnie, jak wszystko.

— Zadrzyj!... Jeżeli *ona* jest tu, niech objawi mi się tem drżeniem... niech przyjdzie!...

Drzewo stało dalej bez ruchu: ani jeden liść nie zakołysał się pod cichem zakłębieniem.

Marya zamknęła oczy i zwiesiła głowę: może płoszyła widzenie praca natężonych zmysłów?... Z takim napięciem czekała, tak skupiała wszystkie swoje władze, porywy i uczucie na zewnątrz, chcąc widzieć i słyszeć, że wysiłek woli ponosił ją zbyt daleko: mogła nie spostrzedz tego, co blizkie, tuż, tuż przy niej, a może w niej samej? —

— Przyjdź!...

Usiłowała wywołać obraz przyjaciółki z siebie, z duszy swej. Miała go w mózgu, we krwi swojej.

— Przyjdź!...

Stała się rzecz dziwna: drogie rysy zniknęły, kontury postaci stopniały, jak we mgle; straciła ją w sobie, a nic nie zwiastowało, że odzyska, że... cień... duch..., objawi się..., da znak..., przemówi...

— Przyjdź!...

Otworzyła oczy, spojrzała na staw w oprawie ciemnych oczeretów z welonem mgły nad cichą taflą.

— Niech woda zaszeleści pod wpływem *jej* woli!...

Staw milczał; nie zakołysała się nad nim nawet krepą oparów.

Wstała. Zaczęła chodzić po ogrodzie i postanowiła nie wzywać, nie myśleć: może wtedy przyjdzie.

Jak długo chodziła? — nie pamięta: godzinę a może wieczność? — Kiedy niekiedy stawała przy krzakach bżów i jaśminów, wdychała woń narkotyczną, zrywała liście, bawiła się, a potem drąc na strzępy ciskała. Nie myślała o niczem, zabijała w sobie pamięć chwili teraźniejszej.

Wreszcie uczuła zmęczenie. Ciągnąc stopy za sobą, dowlokła się do grabowej altany, usiadła na ławce i, rozsuniwszy cienkie gałęzie, patrzyła w księżyc.

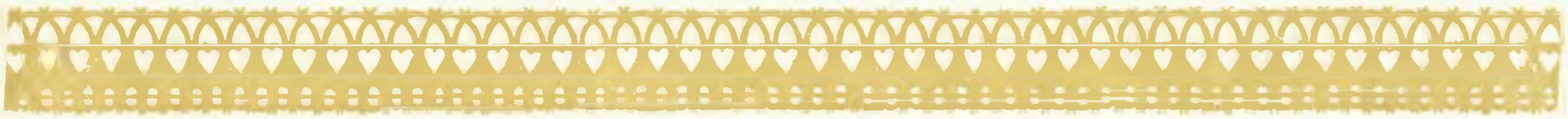
Z początku drżała wewnętrznie chłodem mgieł, które wdychała; stopniowo przycichało w niej wszystko: szedł na nią kamienny spokój księżycowej nocy. Ustawiała wibracya woli; na otwarte szerokie jej oczy, na usta rozchylone, na twarz białą w srebrnej jasności czało się sennie, głuche odrętwienie. Pierwszy raz miała w sobie taki bezmiar ciszy: zastygała w rozkosznym poczuciu niebytu.

Krepa mgieł osunęła się rosą na trawy i kiście sitowia; księżyc przygasał i już tylko mleczno bladym krążkiem niknął za zbieletemi gwiazdami; w mdłej szarości budziły się brzaski jutrzeńki, wstawało słońce i życie leśnych ptaków.

Marya podniosła się i z pół otwartymi jeszcze oczami przeszła po stopniach werendy do pokoju swego, rzuciła się na łóżko, zasnęła snem ciężkim bez majaczeń.

Słońce gorącą smugą wlewało się przez okno, gdy zbudził ją szelest.

Podniosła powieki, lecz opuściła je napowrót i zapadła w lekką drzemkę, graniczącą ze stanem czuwania. Wtedy stało się coś dziwnego: uczuła na licach swych wyraźny długi pocałunek, a gdy otworzyła oczy, spostrzegła białą postać, cofającą się w tył ku oknu ze smugą słońca. Wianek mirtowy na głowie; w kątach warg z lewej strony kropla krwi zastygłej.



— Ludka!...

Widzenie pierzchło; została tylko smuga słońca, której świetlne drobiny poruszyły się i zakółsały lekko, jak gdyby przeszedł przez nie słaby podmuch.

Nad łóżkiem Maryi stanęła dziewczyna z listem.

„Jutro chowamy ją w białej sukience z wiankiem na głowie: tak chciała... Nie zmieniła się po śmierci; na ustach tylko, w kącie warg z lewej strony zastygła kropla krwi. Zgasła bez cierpień; wymówiła twoje imię i dodała: „pamiętam“...

Marya przetarła powieki, spojrzała na kartkę raz drugi. Wzrok jej nie mylił; czytała wyraźnie: biała sukienka... wianek na głowie... kropla krwi na ustach...

Padła na poduszki, przymknęła oczy: na wargach swoich czuła długi, cichy pocałunek.

KAZIMIERZ WOYCZYŃSKI.

MOCARZ.

Jam się imał szalonej i twardej roboty,  
Iżbym stłumił w mej piersi dziki krzyk boleści  
I rzucił precz od siebie lęk blady, niewieści,  
Który do serca strasznych gości wiódł mi rotę.

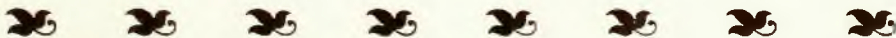
I chociaż dla wędrowca wśród żarnej spiekoty  
Było, że żaden strumyk w polu nie szeleści,  
Jam szedł mocen pojony przez niebieskie wieści,  
Trud przemogłem i szczęsnej dożyłem ochoty.

Oto na słońcu wsparłem tron mój granitowy,  
Zwolen trosk, bowiem żadna burza nie dosięże  
Tu uświęconej trudem królewskiej mej głowy;

Cichość taka ogromna w okrąg... słuch natężę,  
Od ziemi idą ku mnie w stal zakuci męże,  
Pieśń pochwalną mi śpiewa huf ich milionowy.

PIEŚŃ.

Na cieniach nocy ręce me kładę,  
Pieśń ranną gram —  
Wypływa słońce trwożliwe, blade  
Z niebieskich bram.  
Jak dziecko dobre przychodzi ku mnie,  
U moich stóp,  
Bezsilnych blasków porzuca tłumnie  
Po snopie snop.



A ja mu szepczę słowa zachęty  
Na życia trud.  
W potęgę rośnie słońca żar święty,  
W jutrzeńki cud.  
Od złota płoni się strop niebieski,  
W krąg gorze świat.  
Na oczach jasnym ma szczęścia łezki  
Każde źdźbło, kwiat.  
Wyższego życia anioł skrzydlaty  
Z błękitnych pól,  
Leci w liliowe ustrojów szaty,  
By koić ból.  
I wchodzą wizye wzruszeniem blade  
W duszy mej chram —  
Na blaskach słońca ręce me kładę,  
Pieśń szczęścia gram.

MARYA ZABOJECKA.

## PAŹ.

(Przed obrazem Fernanda Knopffa „Le Page“).

Paź uderzał z cicha w złote struny lutni i półśpiewnym szeptem mówił:

„Nie tak wielbią dziewczęta przecudną Madonnę jak paź ciebie uwielbia, o Pani!

„Nie tak trwoży się morze pod wichrowym burz lotem, jak przed tobą paź trwoży się, o Pani!

„Na jeziorach, na cichych śpiewają łabędzie, śpiewają w godzinę skonu — — —

„Paź twój smutny, paź cierpi... drży, tęskni, umiera... o jasna, królewska Pani!“

Lutnia osunęła się na kolana i opadła na piersi złota głowa pazia.

Noc jest cicha, wiosenna. Po jeziorze wodzą się gwiazdy, gasną, zapalają się, uciekają jakoby przed miesiącem. Ten goni je i co chwila gdzieindziej srebrzyste na nie zakłada niewody. I gwiazdy lecą w niewody.

Woń róż miesza się z wonią jaśminów i złączone oddechy rozkochanych w sobie kwiatów biegną ku pochylonej głowie pazia, pieszczą, pieszczą jego oczy i, wzajem się całując, składając na ustach jego żarliwe, miłosne pocałunki.

Paź słabnie i wzdycha:

„Ach, jak pachną róże i jaśminy!“

Dotyka się spieczonych ust...

I pragnie, pragnie pocałunków.



.....  
Odtąd co wieczór, gdy sen obejmował straż nad pałacem i zamy-



kał najpiękniejsze powieki, paż biegł na sam kraj ogrodu, tam gdzie nie sięgała moc i władza sennej niewiedzy.

Od jeziora szły dziwne szmery i szepty — — od kwiatów szła dziwna, upajająca woń.

Gwiazdy szalały po niebie i wodzie i miryadem płomiennych źrenic zaglądały w rozpalone oczy pазia.

Róże i jaśminy kochały się coraz namiętniej i coraz namiętniejsze na ustach pазia składały pocałunki.

Zakochały się w sobie wszystkie wiosenne powiewy i bez pamięci biegły sobie w ramiona.

Trawy słańiały się ku sobie w miłosnem omdleniu, młode, ciepłe mgły przypadały do siebie i tonęły, rozpływały się w niemych upojeniach...

Zaś w ten szal kochania wpadał jak akord przewodni dreszcz skrzydeł łabędzich i od dreszczu tego drżał paż.

Zdawało mu się, że gwiazdy ognistą obręczą ściskają mu głowę i na gorejące serce Śmierć kładzie mu zimną, zimną dłoń.

Po te płomienie jednak i po ten dreszcz śmierci paż przychodził na kraj ogrodu co wieczór.

I pobladł paż. Oczy podobne niegdyś pogodnej toni jeziora paliły się migotliwym blaskiem zawidzianych wśród szalonych nocy gwiazd, usta spiekły i spaliły się... w niewinnych z kwiatami pieśczołach...

— Co ci jest, Paziu mój, co ci jest? —

Paż zrozumiał wszakże, że powiedzieć nic nie wolno. I tylko płakał, bardzo płakał.

A gdy wieczór rozsnuwać począł po niebie srebrzysto-szarą zasłonę, paż nie czekając już, by sen wstąpił w podwoje pałacu, poszedł z wolna

ku tym miejscom, kędy wiosenna noc rzuciła mu w oczy płomień nieznaných pragnień...

Na kraj ogrodu szedł, do jeziora, do róż i jaśminów, tam szedł, gdzie nie sięgała moc i władza sennej niewiedzy.

I legł na świeżej młodością i bujnem życiem dyszącej murawie, zakrył oczy dłońmi i słułhał...

— Co ci jest Paziu mój, co ci jest?

— O Rózo, kwiecie jasny, kocham cię!

— O Rózo, cudzie słońca, wielbię cię!

— O nachyl usta, bym zdjął z nich słodycz tęsknot i rozkosz spełnienia.

— Niechaj czuję żar Twego oddechu, bym go pił, pił!

— I wypił zeń zatrazenie swoje i błogość śmierćelnej godziny: —

— Bo śmierć od pocałunków Twoich jest życie, którym śnił,

— a życie bez miłości Twojej jest śmierć, którą przeklinam!...

To najpewniej jaśmin mówił do róży.

Paż bowiem leżał z zamkniętymi oczami i słułhał...

Raz tylko drgnął, gdy biała z jeziorowej toni wyszła najada, nachyliła się nad nim, szepnęła: — Biedny paż!.. i półotwarte, zczerniałe usta zamknęła długim jak wieczność pocałunkiem.

W powietrzu słułhać było dreszcz skrzydeł łabędzich... paziowi wydało się, że gwiazdy ognistą obręczą ściskają mu głowę...

Śmierć zaś kładła na zgorzałe serce zimną, zimną dłoń.





MARYUSZ ZARUSKI.

## POGRZEB MACIEJA.

(Urywek).

Pochmurny dzień wisiał nad głębiami oceanu. Ogromne fale toczyły się jedna za drugą, najeżone grzebieniami piany. Pędziły zmęczone, zziajane z dalekich gdzieś krańców horyzontu, nie mogąc na chwilę zatrzymać się w biegu, bo tam za nimi tłoczyły się tysiące i miliony gniewnych, niespokojnych takichże fal. Większe i mniejsze wszystkie w w jedną stronę śpieszyły, co chwila się prześcigając, padając ze znużenia i znów się podnosząc do szalonej gonitwy. Od czasu do czasu na horyzoncie zarysowywały się istne góry wodne: to sędziwi przewodcy tej niesfornej czeredy podnosili olbrzymie swe cielska ponad poziom ogólny, żeby wzrokiem ogarnąć wędrowną ludów oceanu.

Niebo całe nakryte było kopułą chmur, mgły i smugów deszczowych. Chwilami wznosił się wicher, jak sęp na morzem trzepotał skrzydłami, a za nim szły ciemność, deszcz i zamieszanie. Poczem nieco się wyjaśniało.

Wśród tego zamętu, zdobywając przemocą każdą milę drogi, posuwał się zwolna czarny korpus parowca. Przód jego wznosił się ponad fal wierzchołki, to spadał ciężko w głębiny; wtedy bryzgi słupem tryskały po obu stronach jego i porwane wiatrem leciały wysoko, spadając ulewą na pokład. Bandera na jednym z masztów parowca była do połowy spuszczone: znaczyło to, że na okręcie jest trup.

Nie zważając na deszcz i niepogodę na pokładzie tłoczył się tłum ludzi, w przeważnej większości ubranych w szare żołnierskie szyneie. Na białych, zmęczonych morską chorobą twarzach żołnierzy, malował się jakiś niepokój i smutek. Oto za chwilę mają pogrześć jednego

ze swych towarzyszy — morze będzie mu grobem... a kto wie co jutro się zdarzy? Morze nie matka, dać nie daje, a bierze. I człowieka szkoda — żał się Boże — wracał do rodziny i nie zobaczył jej nawet — myśleli żołnierze, patrząc na przygotowania do pogrzebu i od czasu do czasu na pieniące się morze.

Tymczasem przyniesiono deskę szeroką i umocowawszy sznury do niej, złożono u burty. Z górnego pomostu, z poza szalup i wentylatorów wychylały się głowy. Tłum ciągle się zwiększał. Jeden z pomocników kapitana okrętu z książką do nabożeństwa w ręku miał pełnić obowiązki kapłana.

Nakoniec na schodkach ze szpitala ukazało się czterech majtków niosących na barkach jakąś niekształtną masę, owiniętą w płótno żaglowe. Czarny krzyż, zgrubiałą ręką majtka wyrysowany na płótnie, obejmował ją ramionami.

Było to ciało Macieja.

Majtkowie złożyli je na desce i przrzucili sznury przez burty. Wtedy jak zgrzyt bolesny odezwał się dzwonek telegrafu maszynowego i parowiec zwolniwszy biegu zatrzymał się wkrótce.


Dziwnie wyglądał teraz ten kolos bez ruchu oddany na łaskę i niełaskę fal, z tym umarłym na swym pokładzie.

Trup niosący trupa.

Po długiej, ciężkiej chwili milczenia, rozległ się śpiew chóralny, z początku cichy i drżący — potem pełniejszy, silniejszy — borykał się z wiatrem, który starał się całkiem unieść go w przestworza oceanu.

Drugi chór liczniejszy i żałośniejszy wtórował pierwszemu z wierzchołków masztowych: każda lina dźwięczała jak struna napięta. Chwilami, kiedy wiatr zmniejszył się nagle, ten chór napowietrzny po kilku drgnięciach zacichał i tylko grube liny odzywały się jeszcze w niskich tonach „basso continuo“ — poczem naraz pełną pierśią zaczęli wszyscy śpiewacy.

Tak oba chóry oddawały ostatnią cześć umarłemu.



Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny przyjmij duszę zmarłego sługi twojego — posępnie brzmiały słowa modlitwy.

Na wieki wieków, amen — zdawały się odpowiadać głosy gdzieś w górze.

Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...

Wieczny odpoczynek — huczały liny masztowe.

A światłość wiekuista niech mu świeci....

Na wieki, na wieki, — zakończył chór masztowy, buchnąwszy płaczem ogromnym. I długo jeszcze dźwięczały głosy napowietrznych śpiewaków, przechodząc stopniowo od jęków żałosnych do rozpaczliwych tonów głębokiego basu, poczem chór cały, jakby wysilony nadmiarem uczucia zamilkł odrazu.

Grobowa cisza zapanowała na statku, tylko fale wokoło szumiały, pluskały, chychotały jakimś śmiechem nielitościwym, ciesząc się zawczasu, że za chwilę pochłoną ciało człowieka — jednej z tych istot, które na swych kolosach stalowych brutalnie zatarły barwę dziewiczości morza.

W śmiechu tym dźwięczała nuta nienawiści.

Majtkowie wzniesli ciało na burtę i na znak szturmana zaczęli je spuszczać na linach. Tłum się poruszył. Fale płały przebiegając co chwila pod ciałem — już jedna swoim wierzchołkiem musnęła deskę, wlewając się kilku kroplami na płótno żaglowe, liny tarły o burtę, coraz bardziej się wydłużając — chwila jeszcze — i sznury zewnętrzne z rąk wypuszczone jak dwa węże uniosły się w górę zataczając półkole.

Ciało zsunęło się z deski i wpadło w głębinę....

Z początku widać je było wyraźnie pod falą, potem coraz mgliściej, niepewniej... w końcu jako szarą plamkę... i znikło zupełnie.

Czarna otchłań z tego miejsca patrzyła.

Znowu odezwał się dzwonek telegrafu, zawirowała olbrzymia śruba parowa, wyrzucając za statkiem słupy wody do góry i parowiec ruszył się z miejsca.

Za chwilę długa smuga fal rozbitych na pianę pociągnęła się za nim, a koniec tej smugi oznaczał miejsce, gdzie na wieki zawarła się głębia morska nad ciałem Macieja.

I pustka zaległa w tem miejscu — tylko fale szumiały.







KAIN I ABEL.

JÓZEF GARDECKI.



ŚLEPIEC.

HENRYK HOCHMAN.



MARYUSZ ZARUSKI.

ŻÓRAW.

(Z cyklu „Dusza“).

Jak ten żóraw opuszczony przez stado,  
Co przed chwilą uleciało za morze,  
Gdy on, ranny, nie mógł zdążyć z gromadą —  
Jak ten żóraw zapatrzony w bezdroże,

Tak mój duch się rozpaczliwie szamoce  
Brodząc smutny ponad życia otchłanią:  
Czuję niemoc, opuszczenie sieroce,  
Czekam śmierci i oglądam się za nią,

Czy nie przyjdzie, czy nie dotknie mię dłonią  
Ta władczyni dobroczynna i wielka,  
Nie wytrąci znużonego z szeregu  
Zamiast silnych, co jej mężnie się bronią...

Lecz omija ona mię zbawicielka  
I zostają beznadziejny na brzegu.

ALBATROS.

Lecz męki znój powraca mi hart duszy.  
Już czuję moc — prostuję skrzydła swoje,  
Już czuję moc, co łamie, gnije i kruszy:  
Rozwijam lot i lecę znów na boje.

Podemną grzmi ocean rozszalały,  
Nademną strop tysiącem skier rozbłyska —  
Niech bije grom, niech huczą morskie wały  
I chmurna noc w szaleństwie niech się ciska:

Mam w piersi swej piorunną moc ekstazy —  
Potężny ptak — zaczynam walkę wściekłą,  
Rozwarłem w krąg ramiona światłowładne —

Niech bije grom — odsłaniam pierś na razy,  
Niech burza wre, niech wstanie na mnie piekło, —  
Zwycięzę sam, lub w boju trupem padnę!

ZYGMUNT PILAWA-ŻELISŁAWSKI.

„ULTIMUS FAUN“.

I.

W moim parku na zakręcie alei, wśród krzewów bzu i jaśminu,  
stoi bachantka z brązu roztańczona, rozkołysana w biodrach, zapa-  
miętała, rozszalała muza tańca. Bronz ten żyje, tętni krwią, dziewicze  
piersi falują. Ja jeden widziałem ją tańczącą. Dla innych martwa, szty-  
wna z niemem tamburinem nad głową; zwietrzała, mchem porośła,  
zapomniana.

II.

Pamiętasz...

Była to wiosna: trawniki zielone utkane w żółcienie, fijołki; roz-  
kołysane wiosennego wiatru podmuchem bzy fijołkowym wonnym  
kwiatem brzemienne.

Kasztanowego kwiecica woń odurzająca. Nozdrzami rozdętymi wchła-  
niałem erotyczne kwiatów wonie; przez oczy i wszystkie pory ciała  
sączyły się we mnie promienie wiosennego słońca. Ptactwo śpiewało  
prolog hymnu miłości i upojeń.

I rozśpiewała się dusza moja ocknięta. Z kwiatów pierwocin uwi-  
łem wieniec na łeb rogaty.

Ja, faun ostatni na ziemi, rozszalały miłością, kopytami depcąc  
ziola i trawy, pędziłem z wiatrami w zawody, błędząc po gąszczach  
parku, pieszczot szалу spragniony. Gniołem kwiaty, rozganiałem w pę-  
dzie rozkochane ptasząt pary; wicie baskami srebrnymi zdobne chło-  
stały do krwi moje ciało lubieżne — ja nic nie czułem. Z obrosłej  
piersi rzucałem ryki pożądania, krótkie, urwane, nawołujące, pełne  
groźb, obietnic...



Napróżno.  
Stanąłem.

Ha! zapomniałem upojony wiosny podmuchem zem ja ostatni faun parku zapomnianego mieszkańiec. Ha, ha, prawem wiekuiście ciąglej przemiany z powierzchni ziemi starty ród faunów, panów, nymf i dryad... Z ich świątyń i ołtarzy ruiny i kapiteli szczątki; a w ich gajach świętych siekiera dźwięczy. Napróżno ramiona wyciągam w dal...

Już nie spocznie na mej piersi włochatej dziwożony słoneczna głowa... Za późno...

I padłem na wezglowie traw i kwiatów rozpaczą miotany. Szczęście budzącej się przyrody zatapiało obosieczny sztylet przekory w łono. Nademną ciął słowik aryę samiczce, kuszącą, pieszczotliwą.

A a a . . . . .

### III.

Tak długo leżałem. Wtem usłyszałem brzęk. Zerwałem się. Cała różowa w blaskach zachodzącego słońca, roztańczona w wichurze płowo-złoty włosów, z wieńcem laurowym na skroniach tańczyłaś tan odrodzenia...

Zerwałem gałąź wierzby aż sok trysnął i ukręciłem fujarkę samograjkę; wydałem brodate policzki i do jej stóp różowych wirujących wydałem w fujarkę z piersi mojej całą tęsknotę, całą potęgę tajonych uczuć, łkanie zawodów, szept miłosny...

I zasłuchały się drzewa, zamilkły ptaszyny. Zmrok zapadł.

Księżyc duży, złoty, wystrzelił z ziemi i płynął po niebie. A ja grałem jej kołysankę księżycową...

Szał minął. — Ukojenie. — Cisza.

. . . . .

Kołysanka płynęła ku niej beznadziejna, niepochwytana ku nieuchwytniej, majaczącej we mgle księżycowej.

### IV.

Hej! hej! Śnieg prószy. Zimno. Ja znów przy tobie...  
W zamieć śnieżną tańczysz, wirujesz. Przyszedłem do ciebie po raz ostatni; a może już nigdy nie odejdę?...

Kostniejącemi rękoma twoje stopy obejmę i z oczyma wlepionemi w laury na twych skroniach skończę ja, ostatni faun, kochanek chimery.

. . . . .





TYMON

KWIAT BÓLU





HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

HUMORESKA.

Już świt, przesiąkły drganiem światła bladym,  
W kielichach kwiatów sennie się przelewa.  
Faun jeszcze drzemie, wsparty o pień drzewa,  
Rosa mu w włosy świetlny wpięła diadem.

Wtem elfy, w leśne zadzwoniwszy fiołki,  
Gdzie je uśpione rośny dopadł ranek,  
Lotny w powietrzu zatoczyły wianek,  
Lecąc się suszyć na dębu wierzchołki

I dalej strącać w pustawej zabawie  
Żołędne deszcze na śpiącego w trawie.  
Faun przetarł oczy, podźwignął się z ziemi,

Chwytał głaz w dłonie i z uciesznym gniewem  
Cisnął w gałęzie.... Na kwiatkach, pod drzewem  
Trzepią się elfy skrzydły złamanymi...

O ZMIERZCHU.

Wieczór nadchodzi. Zgasłe, bezpromienne  
Chyli się słońce nad ziemskim obszarem.  
Drganiem gałęzi na tle nieba szarem  
Drzewa przed nocą roją dziwy senne.

Jeszcze ostatni promień nikły, wązki  
Pomiędzy liście w drodze się omotał.

Rozświetlił gąszcze, wstrząsł się, zadygotał,  
Wlecze się z jednej do drugiej gałązki.

O, w takiej chwili dusza więzów nie ma!  
Gdy na śmierć słońca noc zarzuci wieko,  
Wysłuchany w szmery wód, co sennie cieką,

Między gwiazdami tułam się w przeźroczu...  
Ach, czemuż wiecznie przy ziemi się trzyma  
Dwoje wpatrzonych we mnie smutnych oczu?!









Wydając „Album Artystyczne“ w 25-tą rocznicę istnienia naszego Towarzystwa Bratniej Pomocy, nie mamy zamiaru dawać obrazu sił młodzieży artystycznej, bo środki, jakimi rozporządzamy nazbyt są skromne, lecz pracą tą chcemy uczcić pamiętną w życiu Towarzystwa chwilę.

O pobłażanie prosimy, bo w wydawnictwie tem nie szło nam tyle o danie czegoś artystycznie wytwornego, czegoś, coby należycie scharakteryzować mogło poziom artystyczny uczniów Akademii Sztuk Pięknych, ile o uczczenie 25-letniej działalności naszej jedynej spójni koleżeńskiej, jaką jest Towarzystwo Bratniej Pomocy. Dajemy pracę pośpieszną i bardzo skromnymi środkami wydaną.

Gdyby ta część społeczeństwa, która się losami sztuki istotnie interesuje, uświadomiła sobie, że Akademia nasza, jako instytucja jedyna, gromadzi młodzież kraju całego, że młodzież ta przyjezdna może zwracać się o pomoc jedynie do Towarzystwa Bratniej Pomocy, to niewątpliwie rozporządzalibyśmy środkami, pozwalającemi nieco odpowiedniej spełniać zadanie nasze.

Niestety, tak nie jest. Żyjemy w czasie, w którym sztukę popiera nie naród cały, ale jednostki, a te, zakupując dzieła gotowe, owocami sztuki się rozkoszują, ale o wysiłkach u podstaw: o walce z nędzą młodzieży, która się sztuce poświęca — nie wiedzą. Często wiedzieć nie chcą.

Jaką rolę Towarzystwo nasze mogłoby spełnić w życiu młodzieży kształcącej się w Akademii Sztuk Pięknych — zrozumieć łatwo: nietylko bowiem ma ono za cel pomagać kolegom materyalnie, ale też niesie im pomoc moralną.

Dziś wszystko to czyni się w rozmiarach bardzo skromnych, nie w takich, jakbyśmy chcieli i powinni. Ale wina w tem... nie nasza.

*Komitet Redakcyjny.*

W Maju, 1903 roku.





## DZIAŁ LITERACKI.

ADAM BEŁCIKOWSKI:		LEOPOLD STAFF:	
Królewna Szklanej góry . . . . .	str. 9	Przestroga . . . . .	str. 42
EDMUND BIEDER:		CECYLIA WALEWSKA:	
Vir Triumphans . . . . .	13	Przyjdź . . . . .	42
LUDWIK EMINOWICZ:		KAZIMIERZ WOYCZYŃSKI:	
Na wiosnę . . . . .	15	Mocarz . . . . .	44
W nocy . . . . .	15	MARYA ZABOJECKA:	
W parku . . . . .	16	Pieśń . . . . .	44
W. FELDMAN:		Paź . . . . .	45
Ciężka chwila . . . . .	16	MARYUSZ ZARUSKI:	
F. BRYK:		Pogrzeb Macieja . . . . .	47
Segantini . . . . .	17	Żóraw . . . . .	48
KAZIMIERZ LASKOWSKI (El.):		Albatros . . . . .	48
* * * . . . . .	19	ZYGMUNT PILAWA-ŻELISŁAWSKI:	
Pod Lipskiem (Urywek z całości p. t. „W tym roku”) . . . . .	19	„Ultimus Faun” . . . . .	49
EDWARD LESZCZYŃSKI:		HENRYK ZBIERZCHOWSKI:	
Przez łzawą rzęsę . . . . .	21	Humoreska . . . . .	51
		O Zmierzchu . . . . .	51

## DZIAŁ ILUSTRACYJNY.

Dział ilustracyjny i zdobniczy wykonali uczniowie Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.	JAROCKI WŁADYSŁAW: litografia trój-barwna.	RZEGOCIŃSKI WITOLD: drzeworyt.
FILIPKIEWICZ STEFAN: litografia cztero-barwna.	MANN ALEKSANDER: autotypia.	SICHULSKI KAZIMIERZ: litografia jedno-barwna.
GARDECKI JÓZEF: dwie autotypie.	NIESIOŁOWSKI TYMON: litografia jedno-barwna.	SKOTNICKI JAN: litografia trój-barwna.
HOCHMAN HENRYK: cztery autotypie.	REMBOWSKI JAN: autotypia.	SZCZYGLIŃSKI HENRYK: litografia trój-barwna.
	RUDLICKI WŁADYSŁAW: dwie autotypie.	ŻARNECKI STANISŁAW: litografia jedno-barwna.

## DZIAŁ ZDOBNICZY.

FILIPKIEWICZ STEFAN: ozdoby z motywów łowickich.	GARDECKI JÓZEF: ozdoby z motywów zakopiańskich.	ZARUSKI MARYUSZ: okładka litograficzna, cztero-barwna.
--	---	--

SKŁADAŁ LUDWIK KRÓLIKOWSKI POD KIERUNKIEM JÓZEFA RACZYŃSKIEGO. AUTOTYPIE ODBIŁ EMIL KÖRBEŁ POD KIERUNKIEM JANA MOŁĘCKIEGO W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE. — LITOGRAFIE BARWNE ODBIŁ JULIAN LITWIŃSKI W ZAKŁADZIE A. PRUSZYŃSKIEGO W KRAKOWIE.









